№ 19. Warszawa, dnia 24 Kwietnia (6 Maja) 1876 roku.



TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: w WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 k. 50. Numer pojedynczy k. 15.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni Leitgebera;—w KRAKOWIE przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj lub wprost do Redakcyi w Warszawie. Przedpłata dla GALICYI z przesyłką pocztową kwartalnie złr. 4. W KRAKOWIE złr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Elektoralnej Nr 779 (nowy 41).

Korespondencya zagraniczna z Paryża,

PRZEZ

Autorkę Kroniki zagranicznej w Biblijotece Warszawskiej.

Do najciekawszych książek jakie się w tych czasach pojawiły w Paryżu, należy niewątpliwie opis Niemiec Wiktora Tissota. Pierwszy tom wyszedł jeszcze w roku zeszłym pod tytułem: *Podróż do kraju milijardów.* Autor odmalował w nim głównie Berlin i Berlińczyków, zaprawiając obrazy swoje pełną życia humorystyką. Przed miesiącem pojawił się drugi tom pod tytułem: *Prusacy w Niemczech.* Najwyższym dowodem wartości dzieła, jest ogłoszone w tej chwili siedmnaste jego wydanie.

Przez Wormancyą, Frankfurt i inne miasta, autor pośpiesza do Monachium: w każdem mieście zatrzymuje się chwilę. Tu potrąci o jakieś wspomnienie, tam zajrzy do szkoły, słyszy rozlegające się dyszkantem pieśni Kernera i innych nowożytnych Tyrteuszów, nacechowane nienawiścią ku zareńskim sąsiadom; tu znów w teatrze widzi sparodyowane sceny z oblężenia Paryża, lub jakiś krotochwilny epizod z czasu ostatniej wojny. Niekiedy wstąpi do zadymionej knajpy, siądzie nad kuflem piwa, wsłuchuje się w rozprawy elektorów zebranych na Würtzburskie wybory: nazwisko kanclerza brzmi we wszystkich ustach, powtarza je kto żywy, i ludzie i papugi. W Nurembergu zagląda do sklepu dziecinnych zabawek. Zabawki te rozchodzą się na wszystkie strony świata: do Chin, do Australji, od lapońskich śniegów po afrykańskie puszcze. Jakież to milijony żołnierzy konnych i pieszych wychodzi z tych nurembergskich fabryk. W każdem pudełku inne zwycięztwo Niemców nad Francuzami, możnaby z nich ułożyć całe pasmo dwudziesto wiekowych dziejów, zacząwszy od tryumfu Arminiusza w lesie teutoburskim, do Wissenburga i Sedanu. Po ulicach dziatwa wywija drewnianą szabelką, strzela z maleńkich iglicówek, kaski pruskie połyskują w słońcu na głowach dwuletnich junaków, słowem militaryzm na porządku dziennym w całych Niemczech.

Gdzie się zwrócisz gwarno i buńczuczno: głucha tylko cisza przy ognisku domowem. Ojcowie rodzin bawią się po piwiarniach i ogródkach, żony tymczasem piją kawę z żołędzi, przegryzając ją ziemniakami. „Germanin — mówi Tissot — nie zrozumiał że żona jest towarzyszką życia i przyjaciołką; widzi w niej tylko sługę i niewolnicę. Tak w południowych jak i w północnych Niemczech, kobieta dziwnie poniżona, los jej najsmutniejszy w świecie. Cały dom cięży na jej barkach: ona pierwsza wstaje, ostatnia idzie na spoczynek. To istne bydlę domowe, maszyna do prania, szycia, karmienia dzieci i nic więcej. W polu pracuje boso, w mieście podaje cegłę i kamienie mularzom. W obec męża pokorna i nieśmiała, drży jak liść na każde jego słowo."

W wyższem nawet społeczeństwie, między zamożnem mieszczaństwem kobieta podrzędną odgrywa rolę. Brak jej zupełnie tej wrodzonej wytworności, cechującej kobietę w innych krajach. Brak smaku w ubiorze, swobody w ruchu, brak życia w obejściu i rozmowie. Jeśli wyżej ukształcona, wygląda na ochmistrzynię szkoły, powtarza czego ją wyuczono, lecz nie zdobędzie się nigdy na delikatny żarcik, a gdy się rozśmieje, to już na całe gardło!

W ogólności, czy to mieszczanka, czy wielka pani, każda Niemka jest pierwszą sługą w domu. Moraliści niemieccy wysoko to podnoszą, mówią że zajęła właściwe stanowisko, że rozwija wrodzone zdolności, uspasabiając się na gospodynią i matkę. Wychowanie całe zastosowane do tego; wcześnie nauczyła się szyć i gotować, ledwie że opuściła szkolną ławę, posyłano ją do hotelu na naukę wyższej sztuki kuchennej, do magazynu strojów na lekcyę szycia i kroju sukien. To praktyczne wychowanie rozwija w niej energiję i nieraz po śmierci męża kobieta staje na czele domu i prowadzi wybornie interesa.

Autor najdłużej zatrzymuje się w Bawaryi. Szczegółowo opisuje Monachium, miasto pinakotek, gliptotek, propyteów, które Ludwik I-szy usiłował zamienić w nowożytne Ateny, marząc o połączeniu dwóch genijuszów, germańskiego z heleńskim. „Grecya odrodzona przez Bawaryę, mówi dowcipnie Tissot, to istna Wenus, wynurzająca się z beczki piwa".

Kiedy mowa o piwie, mówi dalej Tissot, porzućmy te kamienne Wenery i Minerwy, wznoszące się na frontonach greckich przybytków, te sławne freski Kaulbacha, a idźmy z przewodnikiem naszym, gdzie panuje olbrzymi posąg Bawaryi, wysoki na 66 stóp, z ręką wyciągniętą ku miastu, podającą mu laurowy wieniec. Tu na obszernej łące odbywają się co rok igrzyska październikowe, przez sześć dni i tyleż nocy z rzędu. Bawarzy wychylają tu pierwsze kufle zimowego piwa (Winterbier), przy wesołych okrzykach i muzyce. Konne wyścigi rozpoczynają uroczystość w obec króla i dworu. Poniedziałek przeznaczony na popisy kurkowych strzelców. Muzykańci w hełmach z pióropuszem, przygrywają na tryumf zwycięzcom. Paziowie na aksamitnych poduszkach unoszą medale i puhary. Od wtorku wszyscy jedzą tylko i piją. W sobotę wielka cisza w Monachium, miasto po tryumfach spoczywa w objęciu Morfeusza.

W roku zeszłym, kiedy Tissot był uczestnikiem zabaw październikowych, 60,000 Bawarów, zebranych na łące u stóp olbrzymiej Bawaryi, wypijało dziennie na jej cześć 900,000 litrów piwa, spożywało 200,000 kiełbasek i 20,000 gęsi. Te październikowe igrzyska, miały być w pierwotnym pomyśle, naśladownictwem starożytnych, ale praktyczny naród wycisnął na nich własne piętno i nadał im czysto bawarski charakter. O geniusz narodowy, rozbiły się artystyczne zachcianki króla Ludwika. Miasto lubo osłonięte

tarczą Pallady, pozostało jak dawniej *brzuchem Niemiec*. Tak od wieków przezwano Monachium i całą Bawaryę.

Dzieło Tissota, mimo pozornej lekkości, gruntowne i poważne, odebrało Francuzom ułudę co do Niemiec południowych. Liczono dotąd we Francyi na zastarzałą niechęć południowców, ku północnym swym braciom, w skutek odrębnych tradycyi i różnic religijnych. Tissot dowiódł faktami, że wspólna myśl ożywia w Niemczech wszystkie serca i dostraja je do zgodnej harmonji, tą myślą „cywilizacyjne posłannictwo Germanizmu, walka w imię idei postępowych.“ Prusacy w całych Niemczech są jakby we własnym domu.

W początkach tego wieku panowało w kraju naszym usposobienie, które Mickiewicz określił tym dwuwierszem:

Że nie wierzono rzeczom najprawdziwszem w świecie,
Póki ich nie czytano w francuzkiej gazecie.

Czytano więc gazety francuzkie, wierzono im, a co więcej i w złem i w dobrem naśladowano modę francuzką, a częstokroć do przesady. Dziś zmieniła się rzeczy postać. Moda francuzka przeważa u nas jeszcze, ale głównie w stroju zewnętrznym, w ustroju zaś ducha, społeczeństwo odstąpiło nieco od niej, snać innym uległo wpływom.

Myśl ta nasunęła nam się mimowoli, gdyśmy wyczytali w gazecie francuzkiej *National* wyrazy, które tu przytaczamy dosłownie: „Może to zdziwi nie jednego, ale poezya wróciła dziś do mody. Każdy Paryżanin ma u siebie kollekcyę nowych poetów wydania Lemaira. Kto wie czy p. Prarond (autor świeżo wydanych pieśni) poświęcając zbiór swój przyjaciołom, nie poświęcił go mimowoli całej społeczności paryzkiej.“

Gdyby te słowa nakreślił pierwszy lepszy publicysta, widzielibyśmy w nich przesadę, frazes rzucony na wiatr, jak to codziennie bywa. Tymczasem zdanie to wybiegło z pod pióra Teodora Banvilla, jednego ze zdolniejszych dziś poetów.

Jakże mu nie dać wiary. Poeci tak zwykle pohopni do skarg, że ogół zrozumieć ich nie chce i nie umie. Ufamy zatem panu Banville, zwłaszcza że wiele innych dowodów, świadczy co chwila o zwrocie umysłów francuzkich ku idealnym wyżynom.

Przytoczone słowa wyrzekł Banville oceniając poezye Ernesta Prarond pod tytułem *O zmierzchu*, pełne świeżych i oryginalnych pomysłów. Inny znowu poeta, Gustaw Vavasseur, wydał maleńki poemacik pod tytułem: *Zasady sztuki poetycznej*. Nie jest to bynajmniej nudna jakaś rozprawa dydaktyczna, jakie pisywano w zeszłym wieku na wzór Horacyusza. Autor maluje dzisiejsze usposobienie poetów, sprzeczne zupełnie z panującym niedawno Byronizmem. Przytaczamy ostatnie słowa:

Dziś nam w poetów nie szukać gronie,
Jak to za blizkich bywało czasów,
Głowy co szałem rozpaczy płonie,
Serca pełnego nudy i kwasów.
Zaprawne żółcią wykrzyki grozy,
Pioruny gniewu przeszły do prozy!
Dręcząca zawiść śród nas już znika,
Jak nakazuje postępu prawo,
My radzi uczcić współzawodnika,
Cudzą jak własną cieszym się sławą.
Nas wady braci nie gorszą wcale,
Mamyż je chłostać?... i któż bez *ale?*
Jeszcze nam słońcem połyska niebo,
Wiara serc naszych jeszcze potrzebą!
Mędrcom przystało obmyślać rady,
Kiedy zadrżały świata posady;
Może się rozum zbłąkać w złej chwili,
Pieśń wszystko przetrwa... ona nie myli!

O tym zbudzonym popędzie do poezyi, świadczy niemniej, tylko co osądzony konkurs poetyczny w Tuluzie. Nie dawno jeszcze ta doroczna akademicka uroczystość, znana pod nazwą igrzysk kwiatowych (Jeux floreaux) była celem żartów powszechnych. Nikt nie dbał o te nogietki, gwoździki, fijołki, nieśmiertelniki, czy to złote czy srebrne, któremi akademija rozporządzała w myśl średniowiecznej założycielki swojej Klemencyi Izaury. Dziś owe kwiatki nabrały jakoś znaczenia w oczach poetów. Przysłano na konkurs do sześciuset pieśni i obrazków poetycznych: dwanaście odebrało nagrody. Wśród laureatów tuluzkich, czytamy imię kobiety pani Cassen. Zbiór tych utworów wyjdzie z druku, po rozdaniu nagród 3 maja. Powiemy o nich w swoim czasie.

Poranki dramatyczne stworzone w ostatnich kilku latach, coraz to większej nabierają wziętości. Teatr *Porte St. Martin*, powziął pierwszy myśl tych niedzielnych przedstawień; celem przedsiębierstwa było uczynić teatr przystępnym dla osób zajętych pracą w ciągu całego tygodnia, dla których zwykłe widowiska, kończące się po północy są nazbyt uciążliwe. Kilka innych teatrów poszło za tym przykładem, żaden jednak nie porównał pierwszemu ani doborem sztuk, ani świetnością przedstawienia. Grano niedawno w teatrze St. Martin, piękny dramat Krystyna Ostrowskiego *Jan Sobieski pod Wiedniem*, obecnie przedstawiają w nim dramat Ballanda, głównego przedsiębiercy poranków p. t. *Grande Devoirs* (Wielkie powinności). Wczoraj właśnie widzieliśmy tę piękną sztukę; powiemy o niej pod wpływem świeżego wrażenia.

Rzecz dzieje się w Szkocyi, w epoce legendycznej. W feudalnym zamczysku mieszka stary hrabia Alberkunt, otoczony rodziną. Ta rodzina niegdyś liczna, składa się obecnie z żony, córki i trzech dorodnych synów. Siedmiu starszych wytoczyło krew na polu walki.

Po krótkim spoczynku, hasła wojenne rozległy się po górach. Norwegowie wylądowali w Szkocyi. Kraj zagrożony, potrzeba biedz mu w pomoc. Krew zakipiała w piersi starca. Napróżno hrabina przedstawia mężowi, że ślub córki Jessy ma się odbyć z Duglasem. Odjazd ojca opóźni małżeństwo.

— Niech czekają! odpowie hrabia.

— Ależ wiek ubielił włosy twoje, rzecze żona ze łzami, twe krzepkie barki pochyliła już starość.

Za całą odpowiedź hrabia porywa ze ściany starą szablę, wierną towarzyszkę od lat młodych. Nie czuje aby była zbyt ciężką, dosiada konia, pospiesza z garstką wazalów; dwaj starsi synowie towarzyszą mu, trzeci Malkolm pozostaje w zamku przy matce. Taki koniec aktu pierwszego.

Podczas gdy hrabia Alberkunt gromi Norwegów, rzecz ciągnie się dalej przy domowem ognisku. Jessy nienawidzi Duglasa, któremu ojciec przyrzekł ją dać w małżeństwo. Kocha ona młodego rycerza szkockiego Droffana; pomiędzy ich dwoma rodzinami, panuje odwieczna nienawiść. Drofan korzystając z nieobecności hrabiego, wdziera się przebrany do zamku. Cały zbroczony krwią, z twarzą obwiązaną płóciennym szmatem, udaje jakoby wracał z pola bitwy, dwaj żołnierze podtrzymują go pod ramiona. Prosi o gościnność, przyjęty siada u ogniska: nikt go nie poznaje oprócz Jessy. Rozchodzi się tymczasem wieść, że Drofan krąży około zamku. Malkolm rozkazuje zamknąć bramy, rozdaje broń załodze. Towarzysze Drofana ukryci w pobliżu uderzają na zamek. Wódz ich wybiega chcąc połączyć się z nimi. Malkolm zastępuje mu drogę; pada śmiertelnie ugodzony, lecz nie Drofan zadał ten pocisk. Jessy patrzy z wieży na bitwę, zbiega między walczących, niestety, już za późno! Na widok powalonego brata, upada bez zmysłów. Korzysta z tego Drofan, uprowadza omdlałą.

W akcie następnym cały zamek w popłochu. Hrabina szuka napróżno córki, wysyła sługi w pogoń. Umierający Malkolm nie wie o niczem, pragnie pożegnać siostrę. Powstaje tymczasem straszna burza, młodzian kona przy huku piorunów.

W tejże chwili wraca Alberkunt, z dwoma synami Robertem i Donaldem. Zwycięztwo przy Szkotach, Norwegowie odparci. Stary wódz przybywa w tryumfie, nie zgadując nieszczęścia. Hrabina opowiada mężowi wszystko co zaszło; starzec i dwaj synowie chwytają za oręż, gotowi rzucić się w pogoń za Drofanem. Próżno powstrzymuje ich matka. Z trzynastu dzieci dwoje tylko jej pozostało... miałażby i te stracić? Donald i Robert wydzierają się gwałtem z jej objęć. Cześć domu droższa im nad życie!

Akt czwarty przenosi nas do zamku Drofana. Jessy porwana gwałtem, nie rozpacza jednak nad dolą swoją. Mogłaby wrócić do domu rodzicielskiego, Drofan bowiem zostawia jej zupełną wolność: ona z niej nie korzysta. Już kapłan czeka ze stułą w kaplicy zamkowej, kiedy Donald wpada wściekły z gniewu, z mieczem w dłoni, ze zniewagą na ustach. Drofan zmuszony koniecznością, dobywa oręż z pochwy, ale radby uniknąć krwi rozlewu. Próżno wyciąga rękę do brata, próżno uchyla przed nim czoło. Młodzian nie chce słyszyć o zgodzie. Szczękły miecze... Donald upada trupem. Na głos konającego brata, Robert występuje do zapasu. Nieszczęśliwy Drofan załamuje ręce z najwyższą boleścią. Zmuszony walczyć, uderza na oślep i powala znów Roberta. Rozpacz zwycięzcy oddana z wielką siłą; czuć tu jakby tchnienie szekspirowskie. Wie Drofan że Jessy stracona już dla niego: nic też nie pragnie... tylko śmierci! Uchodzi z zamku ojców, błąka się, niby wyrodny Kain, po dokonanym mordzie.

Norwegowie wylądowali znowu; stary Alberkunt otoczony przez nich walczy zapamiętale. Drofan miesza się do walki, zasłania starca, kosztem życia własnego. Hrabia wcale go nie poznaje, rannego śmiertelnie rozkazuje ponieść do zamku, otacza go troskliwą opieką i staraniem. Jessy powraca pod dach rodzicielski, poznaje Drofana, bieży ku niemu z rozpaczą. Drofan kona, nieszczęśliwa klęcząc nad trupem, zatapia sztylet w własnej piersi.

Dramat ten mimo nie jednego błędu, jaki mu zarzucić można, mimo scen nieprawdopodobnych, lub przypominających Romea i Juljettę, należy jednak do najlepszych utworów dramatycznych jakie w tym roku przedstawiono w Paryżu. Wiersz piękny podnosi jego wartość.

Opera włoska urządzona na nowo w dawnym gmachu, rozpocznie za kilka dni szereg przedstawień słynną operą Verdiego Aidą, której dotąd Paryż nie widział. Główną rolę męzką ma odegrać pan Reszke Warszawiak. Verdi przybył do Paryża, ma sam dyrygować przedstawieniem.

Imię tego mistrza — popularne dziś w całym świecie. Nigdzie jednak, nawet w ojczystej ziemi, upodobanie w jego utworach nie doszło do takiego fanatyzmu jak w ekscentrycznej Ameryce. W Stanach Zjednoczonych, zawiązało się niedawno Towarzystwo muzyczne pod tytułem: *Associazione musicale Verdi*. Członkowie według regulaminu, mają być ubrani od

stóp do głów zielono, w skutek analogji nazwiska z tą barwą. Partycye oprawne w safjan zielony, krzesła i ławki wybite zielonym aksamitem. Każdy z siedmdziesięciu członków, przyjmuje nazwisko Werdi, z dodatkiem bieżącego numeru. Ściany sali oblepione zielonemi tapetami, ale pomimo takiego fanatyzmu, a co więcej pomimo ofiarowanych 200,000 franków, Verdi nie jedzie do Filadelfji na Wystawę. Odmowa ta powiększy jeszcze zapał Amerykanów dla wielkiego maestra. Słynne osobistości, tracą zwykle na zbytniem przybliżeniu.

UMIEJ.

O umiej się uśmiechać gdy serce łzy roni,
Umiej zamknąć sam w sobie smutek i boleści,
Nie odtrącaj ze wzgardą źle czyniącej dłoni,
Milcz gdy się z duszy cisną słowa gorzkiej treści.

Zamknij w sobie pragnienia. Każdy błysk nadziei
Wywalczaj mężnie, każdą chleba okruszynę,
Ach! i każdy krok naprzód dla własnej idei,
By znaleść życia prostą, choć wązką drużynę.

I postępuj nią śmiało do celu, do czynu,
Bramy życia otwarte, choć tysiączne ciernie
Zranią srodze skroń twoją nim wieniec wawrzynu
Na tej drodze zdobędziesz, cnocie służąc wiernie.

Umiej wyrzec się tego co serce kochało,
Pogrzebać własną dłonią wszystkie swe pragnienia,
Czegoś dla siebie żądał — i to co się śmiało
Tobie, gdyś w życie patrzył przez pryzmat marzenia.

Nie płacz gdy u nóg własnych obaczysz ruinę
Budowy swego szczęścia, którąś z potem czoła
Stawiał przez długie lata—a w jedną godzinę
Potrafili ją zburzyć. I gdy już nie zdoła

Dłoń bezsilna tych gruzów na nowo zgromadzić,
Umiej znieść mężnie boleść, a choć oko braci
Patrzyć będzie ciekawie, umiej się nie zdradzić,
By nie dostrzegli w tobie męczeńskiej postaci.

Eliza R.

NIEZROZUMIANY

OBRAZEK KARNAWAŁOWY

przez

Jana Zacharyasiewicza.

(Ciąg dalszy).

— Zkądże masz takie wiadomości o mojem sercu?

— Znam cię przecież nie od dzisiaj — ale powiadam ci, że bohaterem trudno być dzisiaj, bądź człowiekiem powszednim i... zbliż się do panny Zenobji!

Ciemny rumieniec oblał twarz Michała.

— Co też mówisz! zawołał prawie w przestrachu.

— Mówię to. co widzę.... i do czego mam pewne podstawy, o których ty nie wiesz!

Michał chwycił towarzysza konwulsyjnie za rękę.

— Mów jaśniej — bo słowa twoje są dla mnie zagadką!

— Zagadką miłą — śmiało bierz się do rozwiązania!

— Żartujesz ze mnie okrutnie!

— Wiem, że bardzo ci się podoba! Widziałem jak na nią z pod swego pieca patrzysz!

— To nie dowodzi niczego!

— Możesz znaleść wzajemność!

— Stawać w jedne szranki z panem Rafałem?

— Jeden archanioł i drugi!

— Ba! Jeden ma złote skrzydła!

— A ty masz miecz obosieczny i czarta pod nogami!

Michał rozśmiał się z pewnym przymusem.

— Żarty sobie stroisz! odpowiedział po chwili. Ona jest... tak bogatą!

— A ty ją będziesz... tak kochał!

— Dzisiaj... to nierówna wkładka! Panna tak posażna, jaką jest panna Zenobija, ma zazwyczaj inne wyobrażenie o szczęściu!

I smutno opuścił głowę marzyciel podpiecowy. Towarzysz jego podgarnął włosy, bo już czuł w sobie rodzącą się ochotę do nowego walca.

— Odłóż dzisiaj — rzekł do niego — wszelkie teorye o szczęściu na bok i korzystaj z chwili sposobnej. Ja wezmę teraz Zenobiję do walca i śród najszaleńszego wiru szepnę jej do ucha o piecu i tobie...

— Zlituj się... umarłbym ze wstydu! Już naprzód widzę jak z pogardą patrzy na mnie! Mam dosyć skromności, ale jeszcze więcej dumy!

— Nie lękaj się tej pogardy — mam na nią bardzo skuteczny specyfik. Powiem jej nieco o twojej cioci bezdzietnej...

— To byłoby kłamstwo! Nie czyń tego!

— Przecież speranda musi być zawsze! Ale jeżeli nie chcesz to będę milczał o tem — postaram się tylko o jaki zręczny kalambur zastosowany do serca i pióra!

Wolisz wcale nic nie mówić! Są wrażenia, które w sercu naszem pozostają na zawsze tajemnicą!

Całej tej sentencyi nie wysłuchał towarzysz, bo właśnie była pora bardzo stosowna aby taniec rozpocząć. Posunął do fotelu na którym siedziała Zenobija.

Michał zaparł oddech i utopił swoje rozmarzone błękitne oczy w tworzącą się grupę przy fotelu.

Czesław z uśmiechem zbliżył się do Zenobji i lekkim ukłonem zaprosił ją do tańca. Zdawało się Michałowi, że Zenobija zanim taniec mu przyrzekła — rzuciła pierwej szafirowem okiem na skromny posterunek pod piecem. W tem oku widział jakiś promień łagodny, podobny do promienia słońca, które z po za ciemnej, burzą grożącej chmury powoli się na ziemię wymyka, obiecując jej pokój i pogodę!... Potem widział, jak biała, drobna rączka Zenobji oparła się z lekka na ramieniu towarzysza walcowego, którego silna dłoń ujmowała właśnie jej kibić wysmukłą!... I jeszcze raz zdawało mu się, że w tej chwili krytycznej, gdy ją towarzysz miał w wir szalony porwać z sobą — że w tej chwili tanecznica odwróciła twarz od niego i w tem rozkosznem przygięciu spojrzała jeszcze raz na marzyciela pod piecem!

— Czyż miałby jej coś szepnąć do ucha? pomyślał sobie Michał — ale nie — przecież prosiłem go o to, aby nic nie mówił!

Na dalsze kontemplacye nie było czasu. Przed oczami Michała pomieszały się wszystkie barwy i utworzyły tylko jedną jasną smugę światła w kształcie obszernej elipsy... Czesław i Zenobija przebiegali właśnie teraz taką figurą geometryczną cały obszar sali od okien aż do pieca!..

Dziwne wrażenie sprawił na Michale ten ruch szalony. Zenobija jako postać kobieca znikła mu nagle z przed oczu a natomiast przez ruch wirowy utworzyła się z niej jakaś jasna, promieniami obsypana gwiazda, która bieg swój zaczęła odbywać po niebie... marzeń jego. Raz zbliżała się do niego całym pędem, jakby chciała wpaść mu w otwarte ramiona... to znowu cofała się szybko jak roztropna panna przed kawalerem, o majątku którego obiegały wieści fałszywe... Oprócz tych głównych ruchów, były jeszcze inne ruchy niewyraźne, które mogły wyrażać niepewność, wahanie się, namysł i tym podobne akcesorya każdego wyższego uczucia.

Marzyciel stał pod piecem jak oczarowany i marzył sobie przytem:

— Gdyby ona była ubogą lub sierotą. Otoczyłbym ją opieką, pracowałbym dla niej z rozkoszą i poiłbym się prawdziwym szczęściem, jakie zazwyczaj nigdy nie przemija... A tak... mam tylko kilka chwil miłego złudzenia — bo ona jest dla mnie owocem zakazanym! Urodzona w dostatkach mierzy tylko szczęście miarą dostatków, jakich ja nie mógłbym jej dostarczyć.

Marzyciel podpiecowy spuścił głowę na piersi i byłby w tej postawie smutnego rycerza do białego dnia pozostał, gdyby łagodna i miękka rączka nie była go z tego epileptycznego stanu do życia nie zbudziła.

Spojrzał przed siebie i już chciał z radości wykrzyknąć, gdy nagle poznał że to nie była rączka Zenobji, ale dosyć podobna rączka pani Aurelji.

— Stoisz pan jak karyatyda — czy nie chciałbyś pan wziąść rozbrat z ulubionym piecem swoim?

Michał machinalnie poszedł za panią Aureliją i zajął obok niej miejsce na fotelu.

— Nie weźmiesz mi pan za złe — ozwała się pani Aurelija — jeżeli pana wyrwałam z marzeń podpiecowych—chciałam właśnie o tych marzeniach z panem pomówić.

Michał był pewny, że go jakiś zły duch zdradził i wszystkie jego marzenia do ucha tak niebezpiecznej kobiety złożył. Najprzód więc, jak z początku wypadało, zaczerwienił się aż po uszy, a potem odchrząknął, aby wszystkich swoich marzeń wyrzec się co do jednego!

— Jeśli pani o marzeniach moich chce mówić — zaczął się ksztusić, to ja mogę pani zaręczyć, że o niczem w tej chwili nie marzyłem!

— Jesteś pan nie szczery—dawniej miałem więcej łaski u pana!

Michał przypomniał sobie, że w przystępie jakiegoś wyjątkowego humoru, opowiedział pani Aurelji cały swój traktat o szczęściu ludzkiem w ogólności, a o miłości w szczególności.

— Jestem zawsze jeden i ten sam jakim mnie pani znasz — odparł z powagą — bo zasad moich nigdy nie zmieniam.

— Bardzo chwalebnie—ale też i uczuć przyjaźni nie chciej pan zmienić.

— Moje serce nie czyni mi żadnych wyrzutów!

— Właśnie chce się o to postarać, aby do tego nie było żadnego powodu.

— Słucham pani!

— Więc pan od swojej teoryi szczęścia nie odstąpiłeś?

— Ani na krok!

— Nawet w tej chwili gdyś pan stał pod piecem?

Michał poczerwieniał.

— Z myśli moich i marzeń nie zrobiłem żadnego użytku.

— Szkoda—wielka szkoda! komuż zaprzeczasz pan szczęścia!

Michał ciekawie spojrzał na mówiącą.

— Nie umiem tego dobrze zrozumieć! odparł po chwili.

Pani Aurelija nic nie odpowiedziała. Patrzała przed siebie jakby myśli swoje w głowie porządkowała.

— Więc ideałem miłości — rzekła po chwili — jest u pana, jeżeli ona jest ubogą i sierotą, a on otacza ją swoją opieką i dla niej pracuje!

— Tak jest — takie jest moje pojęcie o szczęśliwem małżeństwie i godności mężczyzny.

— Teorya ta jest bardzo piękna i wzniosła!

— Przedewszystkiem daje gwarancyę szczęścia!

— Tak... to prawda. Jeżeli kobieta widzi, że zależy od pracy męża swego, to kocha męża i pracę jego, która ich żywi. Kobieta majątkiem swoim niezawisła, może mieć pewne usposobienia, które dla męża są nie małym kłopotem, a nawet mogą stać się nieszczęściem!

— Tak niegdyś mówiłem do pani, i tego dzisiaj wcale nie odwołuję!

— Ale dotąd nie znalazłeś pan swego ideału, który, zdaje mi się jest tak powszednim!

— Nie rozumiem pani!

— Tyle jest biednych panien i sierot, które chcą wyjść za mąż!

— Chciałbym kochać i być kochanym!

— Zdaje mi się, że w konsekwencyi teoryi swojej, mógłbyś pan znaleść dla siebie jeszcze ciekawsze sytuacye...

— Jak to pani pojmuje?

— Ubóstwo i sieroctwo tworzą sytuacyę bardzo prostą i zwyczajną. Jest jednak ubóstwo i sieroctwo, które kryje się z rozpaczą pod jedwab i pozorny zbytek!...

Michał z ciekawością spojrzał na mówiącą.

— Co pani mówi? zapytał z jakiemś dziwnem przeczuciem.

Pani Aurelija milczała chwilę.

— Mówię o tem wyjątkowem, a może tem ciekawszem dla pana ubóstwie i sieroctwie... czy się pan nie domyślasz.

Krew uderzyła Michałowi do twarzy.

— Ubóstwo zwykłe — mówiła dalej pani Aurelija, nie jest jeszcze tak wielkiem nieszczęściem, bo każdy je widzi, a ktoś może się nawet nad tem ulitować. Ale ubóstwo które się kryje pod aksamity.... sieroctwo, które się zastawia przed światem legalną opieką jakby parawanem jakim, a w rzeczywistości tej opieki nie ma, bo to, co opieką się nazywa, jest w gruncie rzeczy najohydniejszą niewolą, niewolą dla głupich, światowych widoków.

Michał przybladł.

— Czy masz pani kogo na myśli? zapytał ochrypłym głosem, bo coś go za krtań ściskało.

— Nie inaczej — odpowiedziała smutnym uśmiechem pani Aurelija — mam na myśli tych, o których pan pod piecem tak rozkosznie marzyłeś, chociaż się tego przedemną niegodziwie wyparłeś.

Michał zapomniał że jest w salonie i uchwycił rękę pani Aurelji aby ją gorąco ucałować. Wzbroniono mu ręki.

— Niech się pan umoderuje! rzekła do niego pani Aurelija, przecież tak jawnie swoich uczuć objawiać nie można!

— Przepraszam — ale tak nagły zwrot pomieszał mi szyki. Przyznam się pani, że tak niespodziane wyjaśnienie... nie wiem jakiego słowa użyć... zasmuciło mnie i ucieszyło zarazem.

— Widzę, że zaczynasz pan być szczerszym.

— Jeżeli się w osobie nie mylę, to przyznam się pani, że mi się bardzo podobała. Sprawiła na mnie wrażenie, jakiego dotąd nie doświadczyłem. Zdaje się, że już sam instynkt dobrze mnie prowadził. Później jednak dowiedziałem się, że ma posag milijonowy. Byłem teraz pewny, żem się niepotrzebnie zabłąkał. Majątku nie mam, a osobista praca to zbyt mały dodatek do milijona. Sprzeciwiało się to jednakże mojej teoryi o szczęściu i miłości i rzekłem do siebie: *vade retro* — co znaczy: nic z tego nie będzie!

— I powiedziałeś to pan sobie tak obojętnie?

— Nie mogę dokładnej spowiedzi składać przed panią, ale wyznam szczerze, że z tego powodu bardzo wiele cierpiałem. Wszelkie argumenta mojej teoryi wydały się za słabe, a mnie gwałtem coś rwało do tych szafirowych oczu, które są piękniejsze od najpiękniejszej emalji na porcelanie, i do tych bujnych włosów kasztanowatych, jakich w żadnem oknie fryzyerskiem nie widziałem! A znaczy to już bardzo wiele!

— To prawda!

— Teraz powiadasz pani, że... Zenobija...

— Tak... dobrze... Zenobija...

— Że panna Zenobija jest ubogą mimo pozornego zbytku, mimo aksamitu i koronek!

— I to pana ucieszyło?

— Tak jest — szczerze i otwarcie wypowiadam, że to mnie bardzo ucieszyło! Najprzód daje mi to już inne wyobrażenie o pannie, a powtóre, ułatwia mi do niej przystęp, coby nigdy nastąpić nie mogło, gdyby milijon był rzeczywiście!

Pani Aurelija spojrzała z litością na człowieka, który tak złe wyobrażenie miał o milijonie!

— Jesteś pan dziwakiem! rzekła po chwili milczenia — ale w tem dziwactwie nawet chcę panu usłużyć, jeżeli ono ma do szczęścia prowadzić. Zbliż się pan do Zenobji!

— Rada pani ma zbyt wielką pokusę dla mnie!... Powiedziałaś pani coś o jej sieroctwie, a różne przypuszczenia w tym względzie zasmucają mnie!

— I bardzo słusznie. Jest to prawdziwa ofiara spekulacyi rodzicielskiej!

— Co pani mówisz! krzyknął Michał i chwycił za wachlarz z kości słoniowej, aż kilka drzazeg z niego wypadło.

— Ja panu więcej nic nie powiem—odparła pani Aurelija z smutnem wejrzeniem na wachlarz — tylko jeszcze raz powtórzę: zbliż się pan do Zenobji. Znając serce kobiece w takich warunkach, jestem prawie pewną, że będziesz pan dobrze przyjęty. A do tego kroku powinna pana zachęcić nie tylko sucha teorya, ale i nadzieja szlachetnego uczynku, jakim jest niezawodnie wyzwolenie uroczej niewolnicy z dotychczasowej jej niewoli!

— Jakiż jest powód dzisiejszej jej niewoli?

— Z góry nakazana rola, aby udawać wielkie dostatki tam, gdzie straszna nędza już do okna zagląda! A ostatnim środkiem przeciw tej wciskającej się szparami zmory ma być — bogate zamążpójście córki! Czy pan to wszystko pojmujesz?

— Czy Zenobija się na to zgadza?

— Jest tylko posłuszną — ale posłuszeństwo jej prawdziwie bohaterskie, nieuratuje pozycyi! Pan możesz być ich zbawcą!

Michał spoważniał nagle, jakby już na swoich barkach uczuł słodki ciężar opieki nad całą nieszczęśliwą rodziną. A było mu jakoś miło z tym ciężarem.

Osobista praca jego stawiała go wprawdzie jeszcze dosyć nisko w hierarchji społecznej, ale wyniesione z ławek uniwersyteckich piękne myśli i uczucia, przy wstępie do zarobku na życie, nie straciły jeszcze dla niego swojej woni cudownej. Upajał się jeszcze tą wonią, a jakkolwiek ani jednego wiersza, ani jednej fejletonowej powiastki nie napisał, był jednak na wskroś poetą i życie swoje chciał koniecznie na sposób powieści umodelować.

To też słowa pani Aurelji roznieciły w jego duszy cały zapał ognia, jaki się tam przez rozsądną oszczędność życia nagromadził. Światłem, które z tego ognia wytryskało, opromienił całą drogę, którą dzisiaj tak nagle ujrzał przed sobą.

A droga ta była cudownie piękną! Widział na niej tak piękne kwiaty! Widział najprzód piękną dziewicę, którą fałszywy rachunek rodziców pchał już na sam brzeg przepaści, a on ją ocalił. Widział rodziców fałszywem uczuciem swoją córkę kochających, którzy poznawszy swój błąd i niebezpieczeństwo, na jakie była narażona ich córka, powitali swego zbawcę i byli mu za to wdzięczni aż do śmierci! On zaś uczynił im tę wdzięczność, jak najmniej dokuczliwą, otoczył biednych rozbitków opieką prawdziwie synowską i chciał im nawet nieba przychylić, gdyby do tego nieba nie było tak daleko!...

Tak poetycznie ubarwił sobie nieśmiały marzyciel najbliższą przyszłość swoją i poczuwał się już nawet do pewnych obowiązków względem tej przyszłości.

Tak młodzieńcza poetyczność takiego obrazku, miała jednak pewną realną podstawę. Ileż to bowiem rozbitków większych niegdyś uroszczeń zgromadza karnawał z tą niefortunną nadzieją, że na ostatnią stawkę uda im się jeszcze wygrać los wielki! Z jaką gorączką ale oraz i z jaką rozpaczą rzucają tę ostatnią stawkę do koła fortuny, aby ztamtąd wróciła do nich wielką wygraną?...

Czy zawsze wraca wygraną?... na to odpowiają tragiczne nieraz epilogi tej gry hazardownej, na którą wszystko się stawia i bardzo często wszystko przegrywa!...

Według wyjaśnień pani Aurelji, podobną grę widział Michał przed sobą. Czyż w takim razie nie był człowiekiem prawdziwie opatrznościowym, który widząc tonących podaje im rękę ratunku? A jak dumny byłby z tego ratunku? Jak wielkim kapitałem szczęścia byłby dla niego ten ratunek? Ile uczuć szlachetnych musiałby obudzić w sercu, dzisiaj dla niego tak drogiem? Czyżby ten świat rzeczywiście był tak podłym, żeby się na takim człowieku nie poznał?

Tak poetycznie marzył sobie Michał i aby marzeniom jego żadna para tańcująca nie przeszkodziła, wrócił pod swój piec ulubiony, gdzie mu najlepiej było na świecie! A tymczasem pośród salonu szalał wesoły karnawał, pary wiązały się i rozwiązywały jakby na dane hasło łączyły je dozgonne sympatye i rozpędzały jakieś dziwne nieprzewidziane pierwej antypatye!... Michał nie zważał na to. a nawet nie miał za złe panu Rafałowi, że koło Zenobji usiadł w pozie wyszukanej i prawdopodobnie najwyszukańszemi karmił ją frazesami.

Zapewne spostrzegła pani Piotrowa co się w okolicy pieca działo, bo skinąwszy na panią Aurelią, rzekła do niej:

— Pani rozmawiałaś przed chwilą z panem Michałem ***—muszę pani powiedzieć, że ten młody człowiek bardzo mi się podobał!

— To prawda — może się każdemu podobać!

— Jest stateczny choć jeszcze tak młody i ma na twarzy wyraz inteligentny.

— Zgadzam się z panią!

— Dziwi mnie tylko jedna rzecz...

— Jaka?

— Że ani z panną Pauliną ani Petryną nie rozmawiał—tylko z panią!

— Paulina i Petryna tańczą, nie chce im przeszkadzać. Zresztą nie mam pretensyi, aby do moich córek się przysiadywał!

— Dla czego?

— Młodzież dzisiejsza lepszej pozycyi, ma przesadzone często pretensye!

— Więc jest to jeden z tych, co mają lepszą pozycyę?...

— Tak... przynajmniej za takiego uchodzi. Sam

wprawdzie jest tylko patronem, bo chce pracować— ale za nim mają być świetne sperandy po trzech ciotkach bezdzietnych i jednym stryjaszku w Kalifornii!

— W Kalifornii! Wszak to kraina szczerego złota!

— Mogą być i szterlingi w papierach!

Pani Piotrowa aż zamilkła na czas niejaki ze zbyt wielkiego nawału myśli, a gdy chciała dalej potem ciekawą rozmowę prowadzić — już pani Aurelji koło niej nie było! Za to obaczyła zbliżające się rozjaśnione oblicze Michała, którego usłużna pani Aurelija swojej towarzyszce nasłała.

Po kilku słowach serdecznego przywitania z dodatkiem nieuniknionej skargi na gorąco w salonie, kazała pani Piotrowa usiąść przy sobie Michałowi i zapytała:

— Czy pan nie znasz tego młodego człowieka, który rozmawia teraz z moją córką.

Michał spojrzał i odrzekł:

— To artysta — człowiek wielkich zdolności!

— Gra czy maluje?

— Jest rzeźbiarzem!

Pani Piotrowa skrzywiła się.

— Czy pani nie lubi tej gałęzi sztuki? zapytał Michał z wyrazem dobroduszności na twarzy.

— Dla czegóż nie—odparła pani Piotrowa—jest to zawsze sztuka—ale ze względów towarzyskich wolę zawsze muzykę. Artysta-muzyk przecież zda się na coś w salonie — może zagrać, gdy goście nie mają nic lepszego do robienia!

— Pani masz dobro gości na względzie. To bardzo pięknie — ale cóż pani w takim razie zrobisz z biednym prawnikiem, który zebrania w salonie niczem zabawić nie potrafi?

Pani Piotrowa wdzięcznie uśmiechnęła się do mówiącego.

— Oh, prawnicy — odpowiedziała — mają nieraz bardzo cenne przymioty, dla których w każdem towarzystwie są pożądani. Jest to zawsze ustalona już pozycya... a moja córka, nie taję się z tem, ma nawet słabość do prawników!

Michałowi zabłysły oczy.

— Cóż u panny Zenobji przemawia za tymi maluczkimi w wykwintnym salonie?

— Przyznam się panu, że Zenobija czytała niedawno jakąś ciekawą kryminalną powieść i tak się przy niej zajęła paragrafami kodeksu... a od paragrafów do prawników bardzo blizko.

Michał pokraśniał na twarzy i zamyślił się. Tymczasem pani Piotrowa skinęła na córkę, z którą artysta z coraz większem rozmawiał zajęciem.

Za chwilę stała Zenobija przed matką. Michałowi uderzyła krew do głowy.

— Za wiele tańczysz—rzekła matka do córki — usiądź tutaj i wypocznij.

Michał powstał z fotelu.

— Nie wstawaj pan — zawołała pani Piotrowa— Zenobija siędzie na mojem miejscu. Mam właśnie kilka słów pani prezesowej powiedzieć, a na pana wkładam obowiązek bawienia mojej córki paragrafami, które od pewnego czasu nie dają jej spokoju.

Rzekłszy to powstała z fotelu, na którem zajęła miejsce panna Zenobija.

Utworzyła się teraz para bardzo ładna. Oboje młodzi, oboje w pełni życia i zdrowia, z rozpromienionemi twarzami, z płonącem okiem, wyglądali jak para ludzi bardzo szczęśliwych. Twarz Zenobji pałała ostatkami rozkoszy polkowej, w oczach Michała palił się ogień najpiękniejszych marzeń. Sprawiło to nawet w salonie pewne wrażenie i różne z tego powodu były rozmówki i spojrzenia.

Michał o niczem nie wiedział. Był szczęśliwy, chociaż sam nie umiał sobie z tego zdać sprawy. Byłby siedział tak do rana i milczał, byle tylko przy niej—ale rozkaz matki potrzeba było wypełnić i.... przytem coś napomknąć i o coś się zapytać.

Nabrał więc powietrza o ile tylko się dało i rzekł:

— Mama wspominała mi...

— Że ja lubię paragrafy—przerwała wesoła towarzyszka—niech pan temu nie wierzy!

Michał nie wiedział co z nabranem w płuca powietrzem zrobić — i zamienił je na prędce w westchnienie.

Westchnienie było niepowszednie — sprawiło należyte wrażenie. Zenobija spojrzała z ukosa na towarzysza.

— Niech pan do moich słów powyższych nie przywiązuje wielkiej wagi — dodała po chwili — bo ja lubię czasem coś powiedzieć, co nie jest mojem prawdziwem przekonaniem, ale wypływa z roli chwilowej!

— Z roli chwilowej! powtórzył Michał i uśmiechnął się, bo te słowa zdawały się potwierdzać to, co pani Aurelija o przymusowej roli Zenobji mówiła.

— Dla czego śmiejesz się pan ze mnie? zapytała Zenobija wodząc szafirowemi oczami po tajemniczej twarzy Michała.

— Śmieję się z pewnych sztucznie wyrozumowanych usiłowań ludzkich — odparł Michał z powagą, które na szczęście upadają śród drogi!

— Usiłowań ludzkich?

— Pani naprzykład usiłowałaś wystąpić przedemną w pewnej roli... a jednak porzuciłaś ją!

— Bo przestraszyłam się tego westchnienia, które mi żywo przypomniało — boreasza!

— Masz pani słuszność. Westchnienia z ściśniętego serca są zimne jak lód północy!

— Cóż panu ścisnęło serce?

— Pewna zimna myśl, która zamroziła nagle moje marzenia!

— Stałeś pan tak długo pod piecem!

— Cóż ztąd?

— Marzenia pana powinny być bardzo gorące!

Michał spojrzał na Zenobiję z uwagą. Była jeszcze piękniejsza z tym małym ironicznym uśmiechem na ustach różowych. Szafirowe oczy spuściła na wachlarz, którym się bezmyślnie bawiła. W tych oczach był w tej chwili jakiś blask niezwykły, podobny do blasku ukrywającej się łzy pod powieką.

— Umiem ocenić tę kolącą ironię w słowach pani — ozwał się po krótkiem milczeniu Michał — wiem bardzo dobrze co ona znaczy!

Pełnem okiem, z którego wcale ten blask zagadkowy nie schodził, spojrzała Zenobija na mówiącego.

— Pan wiesz co znaczy ironija w moich słowach? zapytała z pewnem zaciekawieniem.

Twarz Michała pokraśniała i odpowiedział:

— Umiem głębiej wnikać w duszę ludzką — niżeli pani może sądzić! *(d. c. n.)*

LIST SIÓDMY

z Ameryki północnéj

W MINNESOCIE

Sygurda Wiśniowskiego.

(Dalszy ciąg).

Ostatnia wojna wpłynęła stanowczo na zmianę dawnych stosunków. Stała armia, podatki, dług państwa, pieniądze papierowe, fortuny zgromadzone w mgnieniu oka, już to za pomocą spekulacyi wojennych, już to giełdowych, po raz pierwszy pojawiły się w Ameryce. Cła wysokie nałożone pierwotnie by dostarczyć rządowi pieniędzy na koszta wojenne i spłacenie długu publicznego, zachęciły do rozwoju fabryk na ogromną skalę i utworzyły we wschodnich stanach „lordów fabrycznych“ i „proletaryat fabryczny“ na wzór Anglji.

Magnaci im więcej robili milijonów, tem głośniej domagali się o protekcyę swych wyrobów, gdy każde podwyższenie cła otwierało drogę do nowych milijonów; robotnicy im więcej płatni tem większej pragnący płacy połączyli się z chlebodawcami w celu utrzymania podatków protekcyjnych. Partya republikańska, głównie opierająca się na stanach rękodzielniczych, uwzględniając ich zadania coraz wyższym haraczem obarczała wyroby europejskie, chcąc je zupełnie wykluczyć z targowicy naszej, jak powiadała „zatrzymać złoto wypływające do Europy w ojczyznie“.

Dawno już powiedzieli myśliciele jak Mill lub Cobden, że tylko oszczędność ogólna a nie prawa tej sztuki dokażą.

Pomimo że i za domorodne moje pługi, moje buty i suknie płacę podwójną cenę, pszenica lub złoto moje opuszczają kraj bezustannie. Nie ja wysyłam je za granicę za żelazo, skóry i wełnę lecz bogaci fabrykanci za wina i jedwabie.

Pomimo że Kalifornia wydała dość złota w przeciągu lat 25, by spłacić całą kontrybucyę wojenną francuzką, nie ujrzysz w Ameryce nic oprócz brudnych papierków. Złoto to nie spoczywa w piwnicach bankowych, bo tutejsze banki nie posiadają złotej rezerwy, lecz ubezpieczają swe banknoty na obligach długu państwa; nie spoczywa ono jak złoto francuzkie w starych skarpetkach chłopów lub w szkatułkach episjerów. Tu nikt nie ma złota, ani rząd, ani milijonerowie, ani rolnicy.

Zaiste, lepszego dowodu że nie protekcyjne prawa lecz oszczędność narodowa uczyniły Francyę najbogatszym w gotówkę krajem, nie znajduję nigdzie. Gdyby Francuzi wysyłali swe złoto za granicę za błyskotki lub trwonili je w cudzych grodach i wodach jak spanoszona część Yankesów, nie mogliby płacić owych milijardów w brzęczącej monecie.

Republikanie krzyczą do dziś dnia o wyższą protekcyę krajowych wyrobów. Dziś cała rolnicza większość narodu musi tu dwa razy więcej pracować, by otrzymać niezbędne nam narzędzia i wygody; gdybyśmy dogodzili ich zachciankom musielibyśmy się obywać bez najpotrzebniejszych rzeczy, by dostarczać panom fabrykantom złota na zbytki zagraniczne i posyłanie rodzin do Europy.

Zbratanie się republikanów z protekcyonistami wyzyskującemi rolniczą część narodu bez skrupułu, by zbijać milijony lub błyszczyć za granicą, było drugą wielką zbrodnią tej partyi. Korrupcya i protekcya, przez nią podtrzymywane, grób jej kopią.

Niesłychanie wygórowane ceny płodów przemysłu, a niskie płodów roli, ściągnęły z Europy coraz liczniejsze wychodźtwo, którego część znaczniejsza nie w pustkowiach się rozsiewała, lecz skupiła się w fabrycznych miastach, tworząc dobrze płatny i karmiony proletaryat. Kapitaliści zaniedbując źródła bogactw naturalne i odpowiednie krajowi, jak hodowanie bydła, miny zachodnie, żeglugę morską, budowali fabryki, opłacając się niesłychanie.

Gdy rolnik i marynarz nie mogli otrzymać pożyczki, ani rąk do pracy, lada przędzalnia zaciągała olbrzymie długi i dostawała z Europy robotników. Flaga amerykańska znikła już prawie z powierzchni oceanu, z jakiemi zaś trudnościami rolnicy walczą, ten tylko wie, kto jak ja osiadł na roli tutejszej.

Nawet uprzywilejowaną i sztuczną cieplarnią protekcyjną chroniona klasa fabrykantów, musiała

wreszcie uczuć skutki fałszywych zasad gospodarskich. Jak każdy pasożyt tak i ona więdnie, pozbawiwszy tuczące ją drzewo siły żywotnej.

Popłoch teraźniejszy, brak kapitału zupełny w kraju tak bogato uposażonym przez przyrodę, są następstwami prawodawczych grzechów. Rolnicy obarczeni podatkami i cłami, nie mogą uiszczać się z należytości, lub nabywać wyrobów zalegających składy wschodnie. Źródło kredytu z którego fabrykanci czerpali środki na budowanie gmachów i opłacanie tysiąca rąk wyschło także, tłumy zwabione do miast, ujrzawszy się wśród zimy bez zarobku i chleba przypomniały sobie teorye komunistyczne przywiezione z Europy lecz nie powtarzane póki lada szewc, czeladnik w Chicago zarabiał 3 lub 4 dolary dziennie. Po raz pierwszy ujrzał stan średni amerykański chorągiew czerwoną i usłyszał krzyki „chleba" i „dzielmy się własnością!" Może te krzyki posłużą za nauczkę by wróciwszy do mierności ojców, do drobnych swych warsztatów, do uprawiania roli własnemi rękami, znów zostać szczęśliwym narodem, którego ledwie jedna szósta część nie posiadała własności. U nas na zachodzie stan ten trwa dotychczas i przecież nie stoimy niżej duchowo od wschodnich współobywateli.

Na zachodzie też najpierw ocknął się lud z uśpienia powojennego. Przekonawszy się że partya republikańska tak znikczemniała, tak upadła pod kierunkiem awanturników politycznych pozbawionych zwykłej uczciwości, że w końcu nie można było znaleść w całej Unji kasyera nie okradającego kasy, sędziego nie biorącego kubanów i deputowanego któryby nie frymarczył głosem. Rolnicy tutejsi brzydząc się stronnictwem demokratycznem chcącem otoczyć Amerykę murem chińskim, by wstrzymać prąd emigracyjny, zbratanem z fanatycznemi purytanami i purystami, utworzyli trzecią partyę zwaną *stronnictwem ludowem*. Hasłem jego *uczciwość* i *oszczędność* w zarządzie spraw publicznych, w celu zmniejszenia podatków, powolne lecz ciągłe usuwanie ceł protekcyjnych, wyzyskujących ogół narodu dla garstki wschodnich mieszczuchów i skarcenie monopolizujących kraj cały towarzystw kolejowych.

Republikanie, zużytkowawszy swój wpływ w kongresie, by prawie trzecią część niezaludnionej ziemi otrzymać na własność, wyłudziwszy grosz oszczędzony przez lud na swe akcye, nabudowali nam mnóstwo dróg żelaznych wprawdzie, lecz po to tylko by dyrektorowie ich i budowniczy książęce robili fortuny. Koszta jazdy i frachtu nader wysokie w naszych zachodnich kolejach, starczyłyby na opłacenie dywidendy rocznej, gdyby nie okoliczności, że każda kolej kosztowała trzy razy więcej jak kosztować powinna. Sprytnie ułożone i przez przekupionych prawodawców potwierdzone koncesye i statuta, scentralizowały zarząd wszystkich kolei w rękach monopolistów wschodnich, zmuszając nas do dawania korzec za korzec by opłacić koszta posyłki ztąd do portu. Ogólnie można śmiało wyrzec, że rolnik amerykański — a rolnicy tworzą tu $^3/_4$ narodu — ledwo z trzech włók swej niwy jednę dla siebie uprawia. Drugą zabiera fabrykant, a trzecią dyrektor kolei, mieszkający na wschodzie lub w Europie. Tylko dzięki taniości i dobroci roli i rzutności swej, zdołają rolnicy nasi i te ciężary ponosić, i dorabiać się pieniędzy.

Rozpisałem się obszernie, zbyt obszernie może, nad czarnemi stronami społeczeństwa tutejszego, lecz nie bez zamiaru. Podczas jednorocznego pobytu w Austryi dostrzegłem że cały system centralistów niemieckich opiera się na podobnych zasadach jak partyi rządzącej obecnie w tym kraju. W istocie Niemcy austryaccy, ubodzy jak wszyscy niemcy w oryginalne pomysły, lecz bardzo sprytni w wyzyskiwaniu cudzych, wiernie skopiowali monopole kolejowe i protekcyonizm amerykański, by wyzyskiwać słowiańskie części rakuzkiego cesarstwa i Wiedeń utuczyć.

Nemezis, karcąca polityczne i socyalne występki, w tenże sposób ukarała spanoszonych giełdowców i fabrykantów i tam i tu. Upojeni szybkiem mnożeniem się bogactw, tonąc w zbytkach zagranicznych nadużywając kredytu i niepomnąc o jutrze, zniszczyli Niemcy lenników swych słowiańskich najpierw, w końcu wpadli sami w przepaść nędzy. W szczęśliwszej bo zamożniejszej w płody przyrodzone i obszerniejszej Ameryce, żadne stowarzyszenie spekulantów nie zdoła zniszczyć naród do szczętu. Zbrodniarze ucierpieli tu więcej od ludu, a lud ocknął się w czas by korzystając z osłabienia monopolistów upominać się o swe prawa i przyznał, że lepiej było przy ojców mierności, jak przy dzisiejszych stosunkach.

Jeżeliby listy niniejsze wpadły do ręki któremu z mych galicyjskich współobywateli, który szydząc prawie słuchał mych słów, gdy na pół roku przed klęską finansową w Wiedniu przepowiadałem smutne następstwa giełdowych spekulacyi, wspierania kolei jak Ostbahn węgierska i tylu innych matactw uprzywilejowanych przez niemiecko-żydowskich centralistów, by wydrwiwać pieniądze dobyte z roli naszej, może mu podwójny przykład Wiednia i Ameryki zetrze z twarzy ów szyderczy uśmiech. Nie potępiałem ja chęci zbogacenia się szybkiego, bo przeżywszy długie lata pomiędzy ludźmi czczącemi funty niby bóstwo i przekonawszy się, że ludziom tym nie zbywa ani na miłości bliźniego, ani na wykształceniu, nie należę do płaczących nad materyalizmem nowoczesnym. Bogaćmy się byle godziwie, było i będzie mym hasłem. Pracujmy, mnóżmy płody rąk naszych, poruszmy wszystkie sprężyny reklamy by się ich pozbywać korzystnie, lecz szanujmy cudzą pracę, nie wyłudzajmy grosza wdowiego by grając nim na giełdzie dorabiać się milijonów; nie podziwiajmy księcia tego, lub hrabiego owego, którzy kłaniając się niemcom i *antyszabrując* plutokratom wiedeńskim zbrudzili ręce koncesyami austryjackiemi przynoszącemi milijony. Bądźmy materyalistami, lecz materyalistami z poczuciem honoru, jak ów kupiec angielski o którym dotąd żyje podanie, że słowo jego było lepsze jak podpis, który przez całe życie gromadził pieniądze a przecież nikogo nie oszukał, i ani przed lordem, ani nawet monarchą nie uchylał czoła. Nie koncesye wzbogaciły go, ale świat cały. Nam rola nasza i niezbędne nam rękodzielnie otwierają obfitsze pono źródło bogactw jak w przedpokojach Hofburgu. Niech tam tylko wyrodne wnuki magnatów czapkują synom dziadowskich arendarzy lub ciemiężących ojców naszych hofratów.

Wracając do monopolistów amerykańskich wypada wspomnieć, w jaki sposób lud wiejski zachodnich najpierw a teraz już i wschodnich stanów, walczy od niejakiego czasu przeciw stowarzyszeniom kolejowym i fabrycznym. Zanim nowe stronnictwo zmężnieje dostatecznie by spełnić zadanie silnej opozycyi, któremu zbutwiała demokratyczna partya nie podoła, utworzyło się stowarzyszenie zwane Granger's (stodolnicy czyli gospodarze), urządzone zupełnie na sposób lóż wolnomularskich. Każda gmina prawie ma swoją stodołę czyli lożę, każdy powiat liczy setki ludzi, zawisłych od rozkazów włodarza (mistrza). Zjazd mistrzów powiatowych tworzy stodołę stanu, wielcy mistrzowie stanów zebrawszy się na walnym soborze wydają rozkazy spełniane bez wahania przez setki Grandżerów w całej Unji. W niektórych stanach jak np. Kalifornji, większość ludności przyłączyła się do nowego towarzystwa i wszyscy deputowani i senatorowie z takich stanów są mistrzami stodół. Połowa ludności, mianowicie niemieckiej w Minnesocie wpisała się do bractwa.

Przyzwyczaiwszy się od lat najmłodszych ukrywać przed obcemi mą znajomość kilku języków, nie zdradzając mianowicie nigdy jak większość Galicyanów niestety, że mówię po niemiecku, dowiedziałem się mimowolnie o niektórych tajemnicach bractwa, gdy siedząc pomiędzy Niemcami myślącemi, że jako Anglik nie rozumiem ich szwargotu, słuchałem rozmów o sprawach stowarzyszenia.

W końcu począłem się lękać bym nie usłyszał nadto, bo gdyby doszło do uszów mistrza, że ja niewtajemniczony dowiedziałem się o celach i działaniach stodół, pewnobym musiał opuścić okolicę by ujść mściwości nastawionych siepaczy.

Co usłyszałem nie pozwoliło mi przyłączyć się do bractwa osobiście, bo zasada „cel uświęca środki" jest pono godłem jego. W środkach zaś wcale nie przebiera.

Najlepszą czynnością bractwa było utworzenie sklepów i składów kooperacyjnych, zmuszających fabrykantów wschodnich do dostarczania maszyn rolniczych za bardzo mierną cenę. Tu gdzie maszyny zastępują drogiego robotnika, gdzie na małem chłopskiem gospodarstwie ujrzysz narzędzi rolniczych za 1000 dolarów, sprawa to nader ważna. Fabrykant drożący się lub dostarczający zły towar wpada w niełaskę mistrzów, ich *tabu* nałożone na jego wyroby zniszczy mu cały odbyt.

Niemniej energicznie występują Grandżery przeciw towarzystwom kolejowym, i to za pomocą kobiet.

(d. c. n.)

Korespondencya ze Lwowa.

W wielkopostnym sezonie nie brak nam nigdy ani odczytów ani koncertów, ale w tym roku było ich więcej niż kiedykolwiek. Ze wszystkich odczytów zasłużyły na największą uwagę publiczności, chociaż jej nie znalazły, te, które urządziła młodzież uniwersytetu na korzyść swojego stowarzyszenia „Czytelnia akademicka". Odczyty te odbyły się w następującym porządku: profesor uniwersytetu we Lwowie dr. Edward *Janota* wykładał dwa razy o mytach skandynawskich: profesor tegoż uniwersytetu dr. Tomasz *Stanecki* o człowieku wobec wody: profesor krakowskiego uniwersytetu dr. Józef *Szujski* o charakterystyce Kazimierza Wielkiego: profesor lwowskiego uniwersytetu dr. Zygmunt *Węclewski* o literatach i odczytach publicznych w starożytnym Rzymie: wreszcie profesor uniwersytetu lwowskiego dr. Euzebiusz *Czerkawski*, o najnowszych poglądach naukowych na budowę społeczeństwa. Trzy ostatnie odczyty odznaczały się niepospolitą w tego rodzaju pracach gruntownością i świeżością pomysłów a nadto bardzo ujmującem przedstawieniem rzeczy. Będą one wkrótce drukowane w tutejszem piśmie zeszytowem: Przewodnik naukowy i literacki.

Publiczność nasza a zwłaszcza jej piękniejsza połowa, która odczyty urządzane przez towarzystwo pedagogiczne zaszczyca tak wymownemi dowodami zajęcia się, tym razem nie przyczyniła się wiele do zasilenia kasy towarzystwa akademickiego, na którego dochód odbywały się wspomnione odczyty. Ale słaby udział publiczności nie raził tak bardzo jak obojętność samej młodzieży uniwersyteckiej, którą w sali odczytów zastępowało zawsze nadto szczupłe grono ciekawszych akademików. Jest to okoliczność, której milczeniem niepodobna pomijać, bo młodzież uniwersytecka oprócz odczytów urządza w porze kar-

nawałowej reduty i bale na dochód swoich stowarzyszeń a wtedy sama dostarcza silnego kontyngensu uczestników. Obojętność dla odczytów może zrazić publiczność do tego rodzaju entrepryz akademickich, co mówiąc otwarcie, nie uważalibyśmy za tak wielkie nieszczęście. Peryodyczne odwoływanie się stowarzyszeń akademickich do wsparcia publicznego pod pozorami przyjemnej zabawy lub pięknych odczytów nie wydaje się nam stosownem, chociaż we Lwowie oswojono się z tem od dawna i mało kto odważnie ozwie się z przeciwnem zdaniem. Co wolno robić stowarzyszeniom założonym w celach humanitarnych lub dobroczynnych, to nie zawsze przystoi stowarzyszeniom akademickiej młodzieży, założonym i utrzymywanym dla wspólnej, koleżeńskiej rozrywki. Kiedy już pewne klasy ludności przywykły do tego, żeby ocierać łzy nędzy tylko chustką balową, to niechby się tam odbywały bale z celami dobroczynnemi, bo wychodzą one na tem dobrze a na widok nędzy ludzkiej nikomu nie zechce się zastanawiać nad sensem i konsekwencyą dobroczynności, składającej dla biednego bliźniego zaledwie pięćdziesiątą lub setną część tego, co kosztowała toaleta i inne przygotowania do hucznej zabawy. Młodzież uniwersytecka urządza reduty, bale, koncerty i odczyty wprawdzie nietylko na dochód samej czytelni, która jest niejako resursą studencką, lecz także w równej połowie na dochód towarzystwa bratniej pomocy, które ma cel wielce szlachetny i ze wszech miar godny poparcia; ale i ta uwaga nie zdoła nas zachwiać w zdaniu powyżej wyrażonem. Młodzież uniwersytecka jest u nas liczną, liczba słuchaczy wszystkich wydziałów nie bardzo jest daleką od tysiąca, więc gdyby tylko połowa studentów zapisała się do towarzystwa i uiszczała składki punktualnie, dochód wystarczyłby pewnie na zaradzenie wypadkom takiej wyjątkowej biedy, w których mimo młodych sił i stojących otworem licznych źródeł zarobkowania, waży się los młodzieńca i ukończenie studyów staje się niemożliwem bez nadzwyczajnej pomocy. Po za takiemi wypadkami towarzystwo bratniej pomocy nie powinno rozciągać swoich finansowo-opiekuńczych skrzydeł, bo zapomoga lub pożyczka brana z kasy koleżeńskiej wskutek powszedniej potrzeby a nie wyjątkowego położenia demoralizuje młodzież i jest niebezpieczną dla jej ambicyi. Jeszcze więcej grozi taka pomoc ambicyi, jeżeli środków pieniężnych ma dostarczać publiczność wabiona na bale, przedstawienia teatralne i t. p., jednem słowem jeżeli się korzysta z kwesty publicznej. Jeżeli tak się rzecz ma z towarzystwem bratniej pomocy, to o ile więcej razić musi taka zamaskowana kwesta publiczna, jeżeli ma ona wesprzeć czytelnię, która za zadanie wytknęła sobie rozrywkę wprawdzie poważną i szlachetną, ale mimo to jak każda rozrywka nie tak niezbędną, ażeby bez niej całe pokolenie młodzieży uniwersyteckiej miało być narażone na moralny upadek. Czy jeden i drugi słuchacz przeczyta mniej lub więcej dzienników, to jeszcze nie rozstrzyga o jego wykształceniu a książek dostarczy każdemu biblijoteka uniwersytecka i Ossolińskich. Lepiej jest niezawodnie mieć własną biblijotekę i wszystkie pisma peryodyczne pod ręką, ale niechże na to składają się sami członkowie, niech zarząd towarzystwa nie wydaje na lokal i inne potrzeby więcej aniżeli wkładki pozwalają, niech wreszcie publiczność będzie uwolnioną od troski o zaspokojenie tych potrzeb. Jeżeliby młodzieży akademickiej zależało tylko na inicyatywie w urządzaniu zabaw, rozrywek towarzyskich i odczytów, to nikt jej nie odmówi prawa do tego. Jest to owszem jej przywilejem, wszędzie i ciągle uznawanym. Ale inicyatywa ta powinna być także zarówno szczęśliwa w wyborze celów, między któremi rozkwit stowarzyszeń akademickich nie zajmuje pewnie pierwszego miejsca. W Wiedniu gdzie większą jest potrzeba utrzymania czytelni polskiej, kilkunastu akademików polskich urządziło w tegorocznym karnawale bal pod protektoratem arcy-księcia Karola Ludwika na dochód galicyjskiej ludności dotkniętej głodem i na dochód wdów i sierot po górnikach, którzy w styczniu r. b. padli ofiarą strasznego pożaru w kopalniach bocheńskich. Dla publiczności wiedeńskiej bal ten był nowością, bo sama nazwała go polskim a dotąd nie było tam takiego. To też udział jej był znaczny i akademicy polscy przysłali krajowi rodzinnemu kilka tysięcy złr. Jakie to dobrodziejstwo dla tych biednych wdów i sierot po górnikach bocheńskich, które po prostu pozbawione były w pierwszej chwili wszelkich środków do życia! Jaka to ulga dla kilkuset biednych włościan, którzy sprzedawszy i przejadłszy ostatnią krowę, zdali się już na łaskę losu i może przygotowani byli na śmierć głodową! Jeżeli kiedy, to w tym roku pewnie nie brakło młodzieży akademickiej we Lwowie różnych pięknych celów, które wytknąć mogli swoim entrepryzom towarzyskim. Może w innym pomyślniejszym roku znalazłoby się miejsce także i na własne potrzeby, ale w tym roku nie możemy tego powiedzieć. Rzecz dziwna zaprawdę, że dzienniki nasze nie podniosły tego, chociaż pisały i piszą ciągle okropne artykuły o panującej nędzy. Młodzież akademicka ma szczęście ale nie powinna go nadużywać, bo między publicznością zaczynają się już odzywać głosy w duchu uwag powyżej wypowiedzianych.

Krakowski konkurs dramatyczny nie przyniósł nam żadnej sztuki premiowanej a natomiast kilka poleconych do grania i jeden nagrodzony utwór ludowo-dramatyczny. Już to galicyjskie konkursa dramatyczne stanowczo nie mają szczęścia. We Lwowie przyznano wprawdzie ostatnim razem nagrodę jednej sztuce, ale zaraz potem każdy uczestnik komisji konkursowej pewnie szczerze żałował, że oddał swój głos na rzecz tej sztuki. Nikt nie słyszał tego w świecie całym, ażeby sztuka uwieńczona nagrodą zginęła tak bez śladu przez nikogo nie widziana i nie czytana, jak to się stało z owym dramatem premiowanym przez lwowską komisyę konkursową. Nie chcąc odświeżać dalej tej wale niemiłej sprawy zaznaczamy tylko, żeśmy widzieli na scenie lwowskiej jednę ze sztuk, które w ostatnim krakowskim konkursie dramatycznym polecone zostały do grania. Jest to pięcio-aktowy dramat Leopolda hr. Starzeńskiego, „Czaple pióro" grany już kilka razy i zawsze bardzo sympatycznie przyjmowany przez licznie zgromadzoną publiczność.

Sądząc z tej sztuki o wyniku konkursu nie można go nazwać niepomyślnym, choć nagrody nie przyznano nikomu. Jeżeli wszystkie utwory polecone do grania obok Czaplego pióra są równe jemu wartością, to w każdym razie literatura dramatyczna zyskała wiele na krakowskim konkursie. Dramat Czaple pióro jak inne poprzednie prace tego autora, celuje świetną dykcyą i pięknym wierszem, posiada nawet wiele scen i epizodów porywających ale nie zostawia po sobie wrażenia całości dramatycznie systematycznie zbudowanej i szczegółowo wykończonej. Są to raczej obrazy historyczne, udramatyzowane opowiadania, które w książce dadzą się jednym tchem przeczytać ale na scenie tylko chwilami budzą żywszy interes i nie potrafią utrzymać widza w odpowiednim nastroju od zawiązania akcyi aż do ostatniego aktu.

Mówiąc o nowości scenicznej chciałbym bodaj pobieżnie dotknąć ciekawych pod każdym względem stosunków naszego teatru. Dyrekcya prowadzi teraz walkę zaciętą z krytykami, których raz porównywa z Hotentotami a potem nawet odmawia im wprost charakteru ludzkiego. Krytycy to nie ludzie lecz jakieś bestye grasujące bez dozoru i kagańców po ulicach Lwowa! To wszystko głosi potężny organ dyrekcyi niemal co drugi dzień bez żadnego zająknienia a choć widzi, że publiczność śmieje się z jego niedorzecznych wybuchów gniewu, mimo to wmawia w nich, że pobił na głowę swoich przeciwników i że uśmiech politowania dobrodusznych czytelników należy się nie jemu lecz tym przeciwnikom. Słyszeliśmy wiele o nadużyciach i zepsuciu prasy obcej ale nie wiemy, czy gdziekolwiek w świecie pozwolonoby redaktorowi prowadzić dyrekcyę teatru i po każdem przedstawieniu chwalić siebie samego w sposób najnieskromniejszy a zarazem wprost obelżywy dla ludzi wykształconych i piszących, którzy poważyli się odkryć i wskazać plamy na słońcu teatralnem. Panu Dobrzańskiemu we Lwowie uchodziło to dotąd bezkarnie ale tym razem doznał zawodu, bo jego gniewy i groźby pozostały bezskutecznemi wobec cywilnej odwagi i odmiennych przekonań przeważnej części recenzentów lwowskich. Jak na polu polityki tak i w sprawach teatralnych *Gazeta Narodowa* straciła już dawno niegdyś tak powszechnie uznany i szanowany monopol sądu i zdania, ale jej redaktor nie chce pogodzić się z faktem dokonanym i walczy o straconą pozycyę samochwalstwem, jakiego nie widzieliśmy dotąd nigdy i nigdzie.

(d. n.)

Przegląd literacki.

Historya Starożytna ułożona przez Tadeusza Korzona. Warszawa 1876.

Niniejsza książka napisaną została dla uczącej się młodzieży w celu zaradzenia brakowi, który dawał się uczuwać w naszej literaturze podręczników historycznych. Badania bowiem, w ostatnich 40 latach przez uczonych europejskich dokonane, sprawiły znaczny przewrot w dotychczas podawanych nam za prawdę wiadomościach historycznych o starożytnym Wschodzie. Historya Asyryi, Babilonu, Egiptu, Medów i Persów przed Cyrusem, dawniej składała się ze zbioru chaotycznych i niepewnych wiadomości, których skąpa liczba faktów istotnie dziejowych i pewnych tonęła śród baśni i wymysłów, za pisarzami greckimi rutynicznie od niepamiętnych czasów powtarzanych. Dopiero w ostatnich czasach, gdy zaczęto dokładnie badać dawne i odkrywać nowe napisy hieroglificzne i pomniki egipskie, gdy odgadnięto tajemnicę perskiego ćwiekopisma, gdy odkryto ruiny Niniwy i ceglane książki asyryjskie (odnaleziono całą bibliotekę, takich osobliwszych książek, należącą niegdyś do jednego z królów assyryjskich), wreszcie gdy odkryto i przeczytano napisy na pomnikach staroperskich — pokazało się wówczas, że przyjęta dotychczas chronologija była wadliwą, że etnografija ludów wschodnich opierała się przeważnie na domysłach, że imiona i następstwo królów były zupełnie inne, że mnóstwo opowiadanych wypadków nie miało nigdy miejsca, a przeciwnie, niewątpliwe i na pomnikach zaświadczone, dotychczas bywały w podręcznikach historycznych pomijane. Tak np. bajeczki o Ninusie, Semiramidzie, Sardanapalu i t. d. odniesiono stanowczo do liczby mytów; opowiadania o Mandanie i Cyrusie nie znalazły żadnego poparcia, a jak łatwo mylili się pisarze greccy, nie znając egipskiego języka, widać to np. z tego zabawnego faktu, że pierwszy historyk grecki Herodot z jeziora uczynił króla Merisa; po egipsku *meri* znaczy *jezioro*, a król, który kazał je wykopać, według świadectwa pomników, nazywał się Amenenha, nie zaś Meris. Podobnież np. sławiony przez Greków Sezostrys nie istniał wcale, lecz pod jego imie-

niem Grecy połączyli, bez względu na chronologiją, czyny kilku faraonów w rozmaitych epokach dokonane. W historyi greckiej krytyka nowożytna również odrzuciła wiele rzeczy jak np. mniemaną wędrówkę Heraklidów i baczniej starała się wyróżnić prawdę od zmyśleń w podaniach o Lykurgu; wyjaśniła nadto rozwój urządzeń państwowych ateńskich i t. d. W historyi Rzymu Niebuhr pierwszy wykazał, że całe dzieje królów i wypadki pierwszego wieku rzeczypospolitej są po części bajeczne, po części bardzo wątpliwe; wyjaśnił nadto, co to była plebs, znaczenie sporów o grunta i t. d.

O wszystkich tych i tysiącznych innych zmianach i sprostowaniach w historyi starożytnej nie wiedział nasz ogół nic albo bardzo mało. Poszukiwania i prace takich uczonych jak Layard, Lepsius, Burnouf, Mariette Bey, Beulé, Fustel de Coulanges, Grote, Gobineau, Lenormand, Grotefend i tylu innych, nie wywierały wpływu na naszą literaturę historyczną i nawet do tłomaczenia wybieraliśmy takie dzieła obce, w których tego wpływu było nie wiele.

O pedagogicznych wymaganiach mniej jeszcze myślano przy wyborze dzieł obcych do tłomaczenia. Dawano więc tedy młodzieży naszej w przekładzie albo dzieła zaprawione ideą napoleońską takiego pana Duruy, albo przesiąkłe niemieckim wyłącznym patryotyzmem jakiego Schlossera; tłomaczono już to suche i lakoniczne prace Pütza, już to rozwlekłe lub przeważnie anegdotyczne dzieła rozmaitych autorów. Rozumiano wprawdzie, jak trudno wtłoczyć w pamięć dziecka cały niezmierny materyał historyczny i jak trudno oznajomić uczniów dokładnie z istotą i znaczeniem różnorodnych pojęć historycznych, a nawet z samą historyczną terminologiją; z drugiej strony każdy i to pojmował, że nawet początkujących dzieci trudno karmić samemi bajeczkami i anegdotami, bez poważniejszego historycznego żywiołu. W Europie zachodniej zjawiła się myśl o podwójnym kursie historyi i początkowym, więcej działającym na wyobraźnią i uczucie, więcej zaciekawiającym niż pouczającym i wyższym, zupełniejszym i poważniejszym, opierającym się więcej na rozumie i wymagającym pracy wytrwałej.

P. Korzon w przedmowie do swojej książki nie rozbiera należycie ważnej tej kwestyi podwójnego kursu historyi; słusznie tylko powstaje przeciwko bawieniu dzieci samemi bajeczkami i biografijami, a zaznaczając wzmiankowaną przez nas dopiero trudność wyjaśnienia tak różnorodnych pojęć historycznych i cywilizacyjnych (jak rząd, prawo, władza, literatura i t. d.), przeznacza swoją książkę dla dzieci doroślejszych od 12 do 13 lat wieku, już nieco z powyższemi pojęciami obeznanych. Co do nas, przekonani będąc o potrzebie podwójnego kursu historyi, sądzimy raczej, że podręcznik p. Korzona właśnie jest przydatnym do początkowego, elementarnego nauczania historyi.

Sam styl wykładu, mający cechę popularnej pogadanki, wybornie odpowiada wymaganiom elementarnego nauczania. Streszczenie bardziej suche i systematyczniejsze, przeznaczone do wyuczenia się na pamięć, umieszczono na końcu każdego rozdziału. Taka metoda istotnie ma ważne zalety pedagogiczne. Inną jeszcze ważną nowością, nieskończenie pożyteczną pod względem pedagogicznym, jest umieszczenie w tekście małych, lecz bardzo dobrze wykonanych drzeworycików, przedstawiających pomniki i zabytki starożytne: przyczynia się to niewątpliwie do zaciekawienia uczniów i do lepszego wrażenia w pamięć podanych wiadomości i opowiadań. Ze względu na konieczność dokładnych pojęć geograficznych przy nauce historyi, dodane są także mapki, ale te, co do wykonania, ustępują drzeworycikom i zbyt są małe, a napisy prawie nieczytelne. Nakoniec jeszcze jedną ważną nowość wprowadził autor do swego wykładu: jest to wstępny rozdział o ludach przedhistorycznych z epok kamiennych i okresu bronzowego, skreślony na zasadzie archeologicznych poszukiwań.

Z trzech działów książki (Wschód, Grecya, Rzym), najlepszym jest niewątpliwie pierwszy. Tutaj to właśnie autor skorzystał z najnowszych wyników badań, o których powyżej wspomniano, tak że cały dział ten wygląda samodzielnie i świeżo. Zamało tylko mówi autor o Hindusach i pierwotnych Aryjczykach, o Chińczykach zaś — nie masz ani słówka, a przecież, bądź co bądź, jest to naród cywilizacyjny, według pojęcia, które sam autor do tego wyrazu przywiązuje, choćby dla tego, że mnóstwo przemysłowych i naukowych wynalazków (jedwab', papier, szkło, druk, proch) były znane w Chinach od niepamiętnych wieków i ztamtąd bardzo już późno przyszły do Europy.

Dział historyi greckiej w ogóle za szczupły. Z mitologiją Greków postąpił autor po macoszemu: zawarł ją na 2 stronnicach, wówczas, gdy zdaniem naszem, wypadało jej poświęcić, co najmniej 10 stronnic. Dzieje bohaterskie i półbajeczne pominięte prawie zupełnie: o Argonautach, Lapitach, Centaurach, podaniach tebańskich, albo nic nie ma, albo słów kilka; nawet bogaty cykl podań trojańskich, pokrótce streszczony. To wszystko, choć nie mające wartości historycznej, nie mogło być jednak pominiętem, zwłaszcza w dziele dla dzieci i w obec niezmiernego znaczenia mitologii i podań greckich w cywilizacyi następnych wieków. Czasy historyczne Grecyi, pomimo drobnych pomyłek, wyłożone dokładnie i zajmująco; mniej tylko ciekawe okresy od końca wojny peloponezkiej do czasów Filipa i od podziału monarchji Aleksandra do podboju rzymskiego autor pominął kilkoma słowy.

Dział historyi rzymskiej daleko zupełniejszy od poprzedzającego. Są i tutaj usterki drobne; do ważniejszych zaś porachowalibyśmy niedostateczne wyjaśnienie urządzeń rzymskich, jak trojakie zgromadzenia ludowe, znaczenie plebejuszów, spory o podział gruntów i t. d.

Pod względem formy, praca p. K. czasami nosi cechy pośpiechu i zaniedbania, ztąd sporo błędów stylu, a nawet języka. Szczególną właściwością pana K. jest używanie imion własnych i geograficznych greckich w ich pierwotnej formie, nie zaś, jak dotychczas używano, w formie, która zanim się do nas dostała, przeszła już przez język łaciński. Tak pan K. pisze: Alkibiades, Kilikia, Kimon, Trakia, Makedonia, Herakles, Aitolowie, Aischylos i t. d.

W tej materyi, zdaniem naszem, należy wyróżnić dwie grupy imion, a mianowicie: 1) imiona, które u Greków brzmiały zupełnie inaczej, albo ze znaczną różnicą *ale nietylko w ortografji*, od imion, które przeszły do nas, jako oznaczające greckich bogów, bohaterów i t. d. już drogą pośrednią, od Rzymian, a więc są właściwie łacińskiemi: i 2) imiona, w których cała różnica polega na odmiennych cechach łacińskiej i greckiej ortografji. Co do pierwszych, w zupełności pochwalamy używanie imion oryginalnych, co przyjęli już wszyscy uczeni europejscy. Tak np. dawniej mówiono, że Grecy czcili Jowisza, Junonę, Dianę, Minerwę, gdyż tak nazywano te bóstwa po łacinie; Grecy zaś żadnego z tych imion nigdy nie znali, nazywając wymienione bóstwa Zeusem, Herą, Artemidą, Ateną. Godzi się więc o tem wiedzieć i znać prawdziwie nazwy greckie. Tak samo można i nawet należy mówić i pisać: Persefona, Herakles, Odyssyusz i t. d. Co się zaś tyczy wyrazów drugiej kategoryi, które w formie łacińskiej różnią się od greckiej ortografiją lub wymawianiem jednej lub dwóch liter np. Macedonia i Makedonia, Cymon i Kimon, to chociaż niektórzy uczeni niemieccy i w takich oddają pierwszeństwo formie oryginalnej greckiej, my jednak sądzimy, że kusić się o wprowadzenie takich form do naszego języka nie warto, a skoro już przywykliśmy do Macedonji, Cymona i t. d. to niewątpliwie takie wyrazy jak Makedonia i Kimon będą skażeniem języka.

Ostatecznie, powtórzymy raz jeszcze, co już z całego rozbioru wypada, że dzieło pana K. może wyświadczyć wiele pożytku przy wykładzie historyi powszechnej, tak obecnie lekceważonej i upośledzonej.

W.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Mężowi z ulicy Wareckiej. W dziale gospodarstwa podawane opisy ulepszeń i nowych pomysłów w sprzętach domowego pożytku, dokonywane jest jedynie w celu przedstawienia rozwoju w tym kierunku przemysłu popartego nauką. Wiadomości te są i ciekawe i pożyteczne, nabywanie zaś opisywanych przedmiotów od woli każdego zależy, zwłaszcza że zaraz podajemy ceny nie przez nas ale przez fabrykantów ustanowione. Szanowna Wasza Małżonka, która jak piszecie umie z oszczędności obiadowych opłacać prenumeratę Tygodnika, i stosownie do wskazówek jego zmieniać turniury, obcinać kapelusze i przedłużać ogony u sukien, osądzi najlepiej o ile z wiadomości podobnych może korzystać bez narażania się na przykre zatargi z dochodami.

Powiadacie Szanowny Panie, że należycie do owej falangi mężów niesławnych, ale tylko zwyczajnych, pospolitych, którzy ten piękny tytuł zdobywają sobie nie wyższą wiedzą lub talentem ale ślubowaniem przy ołtarzu: zbyt to skromne ocenienie własnej wartości. Mąż który w dziesiątą rocznicę swego małżeńskiego pożycia, jest zdolny obdarzyć Janka z Bielca listem napisanym z tak wybornym humorem, z tak serdecznem czuciem dla kochanej przez niego Małżonki, nie jest zwyczajnym ani pospolitym nawet pomiędzy mężami słynącemi z wiedzy i talentu. Niechże ten humor Zacny Panie wiernym będzie Waszym towarzyszem przez wszystkie dziesiątki lat następne choćby na setki liczone. Jedyne to szczęście, a dobra i rozumna żona także jedynem jego źródłem.

Za pamięć, Janek z Bielca składa serdeczne podziękowanie.

Prenumerata wynosi kwartalnie:
w Warszawie kop. 75 — z przesyłką pocztową rs. 1.

Adres: Do **J. K. Gregorowicza**. *Ulica Elektoralna Nr. 779 (nowy 41).*

Do dzisiejszego Nru Tygodnika Mód, dołącza się dodatek z drzeworytami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 21 Апрѣля (3 Мая) 1876 г. Redaktor i Wydawca **J. K. Gregorowicz**. Druk E. Skiwskiego, Elektoralna Nr. 758 (28).

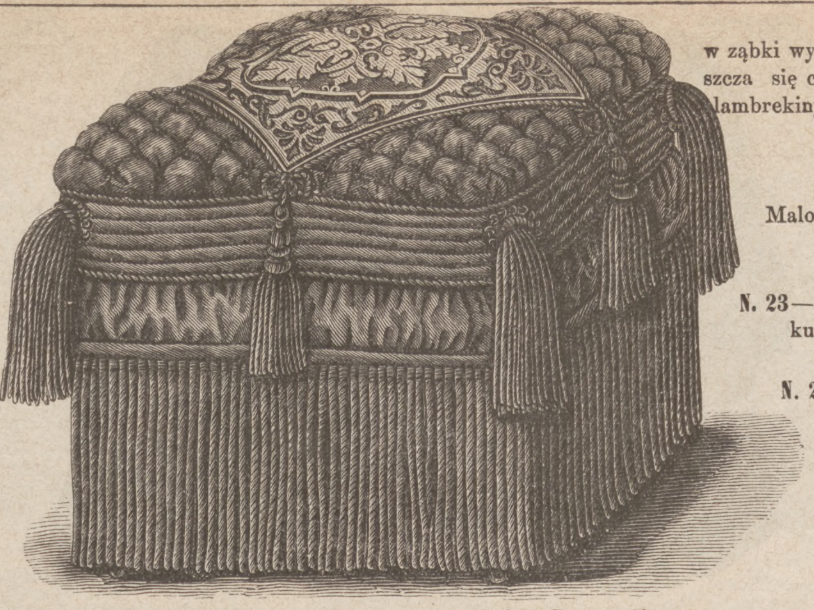
Dodatek.

Opis do N. 19.

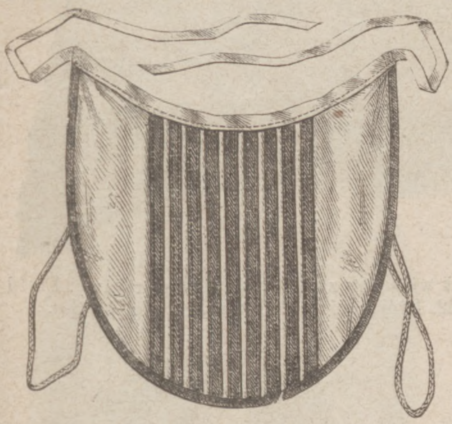
(dalszy ciąg).

N. 15. Peleryna tiulowa, naszyta pletnią.

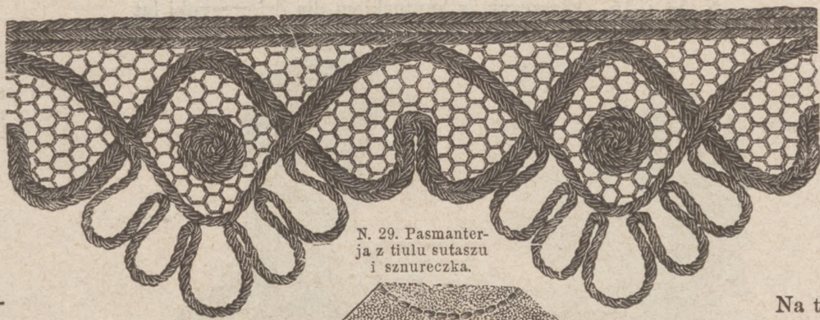
Model peleryny mającej 58 cent. przedniej, 66 tylnej długości, a 104 dolnej szerokości w każdej połowie; odrobiony z czarnego grosbotowego tiulu i cały naszyty w odstępach ³/₄ cent., pletnią czarną wełnianą, na przemian 1 i 2 cent. szeroką. Brze-



N. 27. Taboret pikowany ozdobiony wyszyciem stębnówką. Patrz ryc. 28.



N. 25. Turniura strona zwierzchnia. Krój w dodatku Nr XIII Fig. 60.



N. 29. Pasmanterja z tiulu sutaszu i sznureczka.

gi przodów naszyte są podłużnie trzema rzędami szerokiej i dwoma wązkiej pletni, przyczem w rogach u dołu tworzy się krata na ryc. 15 widoczna. Pliską z czarnej materyi 2 cent. szeroką, podszywa się brzegi w koło i obejmuje wykrój szyi, ogarnirowany koronką 8 cent. szeroką. Frendzla jedwabna mieszana z karbowaną plecionką i kokarda z wstążki repsowej 5 cent. szorokiej, dopełniają przystrojenia peleryny.

N. 16—17. Kołnierzyk i mankiet z kolorowego płótna, ozdobiony wyszyciem łańcuszkowem. Deseń na arkuszu z krojami, Fig. 75.

Forma kołnierzyka ani mankieta nie jest nową, odznacza się tylko kolorem płótna, dobranym do podróżnego ubrania lub płaszczyka.

N. 18—19. Kołnierzyk i mankiet z koronki i haftowanej falbanki. Krawatka ze wstążki kanwowej.

N. 20. Lambrekina do stoliczków lub pułeczek. Haft kolorowy.

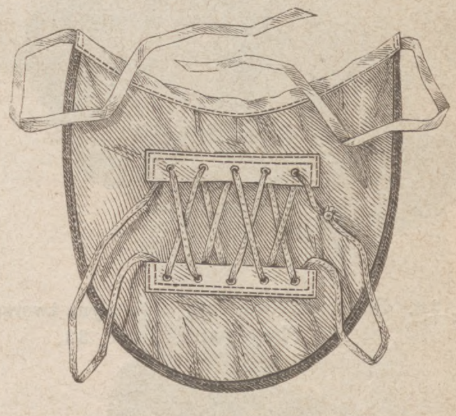
Model haftowany na czarnym atłasie, kordonkiem niebieskim i różowym ściegiem stębnowanym; można także użyć kordonków w jednym kolorze do cieniu. Szlak z sukna białego w ząbki wycięty i wyszyty takiemiż kordonkami, nadmarszcza się cokolwiek i przyszywa drobnemiściezkami do lambrekiny.

N. 21—22. Szkatułka z narzędziami.

Malowidło nakrapiane na drzewie politurowanem. Wzór narożnika Fig. 76.

N. 23—24. Płaszczyk wiosenny. Opis i krój na arkuszu dodatkowym Nr IX, Fig. 39—40-a.

N. 25—26. Turniura. Krój Nr XIII Fig. 60.



N. 26. Turniura. Strona spodnia. Patrz ryc. 25.

Na turniurę przykrawa się z dreliszku szarego, dwa jednakowe kawałki, podług Fig. 60. Na jednym, któren następnie wierzch stanowi, przystębnowywa się 9 pasków ze skórki albo tasiemki ponsowej, 1 cent. szerokiej, i w takowe nawłóczy się fiszbiny.

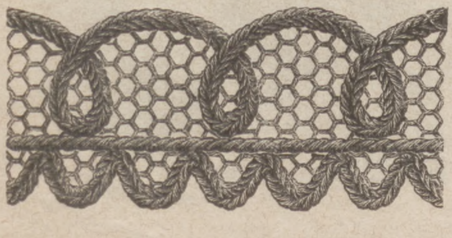
Do drugiej spodniej części przystębnowane są w sposób na rycinie 26 wskazany, dwie podwójne listewki 20 cent. długie, z wybitemi dziurkami służącemi do sznurowania i mniejszego lub większego podniesienia turniury. Następnie dwa kawałki składa się ze sobą, obejmuje w koło listewką ze skóry amerykańskiej lub mocnej ponsowej tasiemki, brzeg górny stębnuje się w pasek 2 cent. szeroki i dodaje tasiemki do wiązania.

N. 27—28. Taboret zwany puf. Deseń stębnowany na podwójnym materjale.

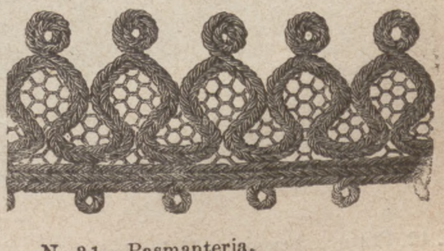
Kwadratowy, z drzewa odrobiony postument 45 cent. wysoki na nizkich nóżkach z mosiężnemi kółkami, stanowi podstawę taboreta, którego powierzchnia ma w kwadrat 49 cent. Wysłanie 9 cent. wysokie, pokryte atłasem burgundzkiego koloru, z boków ułożonego w poprzeczne fałdy, z wierzchu przepikowanego i ozdobionego guziczkami. Boki zasłania bufa atłasowa i kręcona wełniana frendzla. Na wierzch zało-



N. 28. Czwarta część haftu stębnówką na dwojakim materjale, do taboretu ryc. 27.



N. 30. Pasmanterja.



N. 31. Pasmanterja.



N. 32. Płaszczyk wiosenny z peleryną tworzącą rękawy. Plecy patrz na ryc. 33.



N. 34 i 35. Płaszczyk z kapturkiem dla dziewczynki lat 8—11. Przód i plecy. Krój w dodatku Nr III, Fig. 12—16.



N. 33. Płaszczyk wiosenny z peleryną tworzącą rękawy. Przód patrz ryc. 32. Krój i opis w dodatku Nr I Fig. 1—3-a.

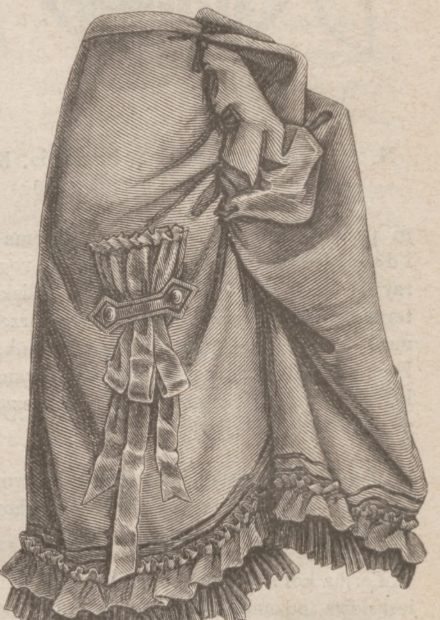


N. 36. Tunika „Beduina“ Wskazanie kroju w dodatku Nr XVII, Fig. 72—73-a.

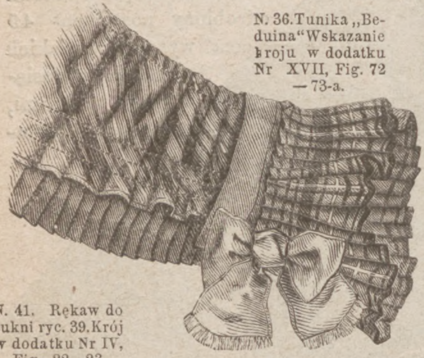


N. 39. Suknia z tuniką wiązaną z tyłu. Patrz ryc. 40—42. Krój stanika, tuniki i sukni w dodatku Nr IV, Fig. 17—27-a.

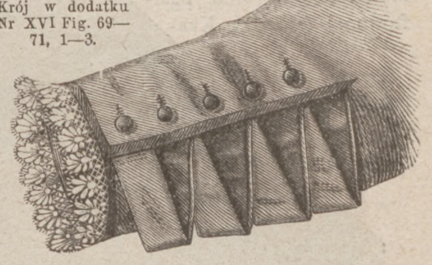
N. 37. Suknia z tuniką. Patrz ryc 38. Krój tuniki Nr XVI Fig. 69—71. Krój stanika i spódnicy jak do ryc. 39.



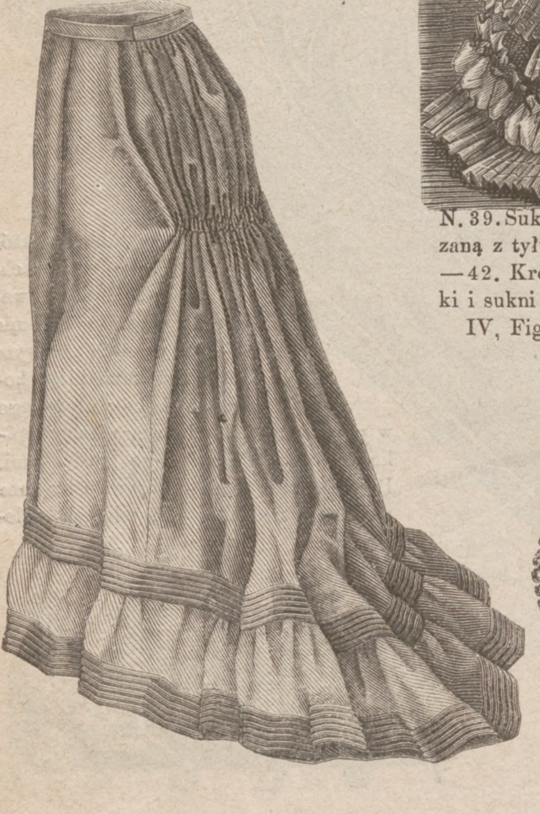
N. 38. Tunika do ubrania ryc. 37. Krój w dodatku Nr XVI Fig. 69—71, 1—3.



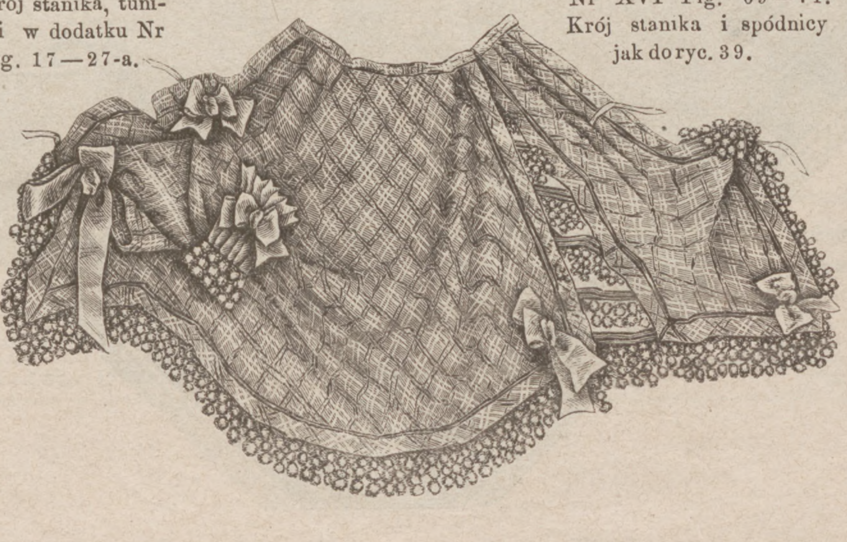
N. 41. Rękaw do sukni ryc. 39. Krój w dodatku Nr IV, Fig. 22—23.



N. 43. Rękaw do sukni ryc. 1 w Nr 18.



N. 42. Przemarszczenie spódnicy do kostiumu ryc. 37—41. Garnirunek z wolantu i pletni albo plis. Krój Nr VI Fig. 27—27-a.



N. 40. Rozłożona tunika do ryc. 39. Krój Nr IV Figura 24—26.



N. 44. Okrycie wiosenne formą dolmanu oszyte frendzlą kwastową. Krój podług ryc. 23—24.



N. 1. Bluza dla chłopca lat 3—6. Krój w dodatku Nr V, Fig. 28—31.



N. 2. Paletocik Ulster dla chłopców. Patrz ryc. 33. w N-rze 18.



N. 3. Płaszczyk dla dziewczynki. Patrz ryc. 2 w Nr 18.



N. 4. Płaszczyk z fałdami naszyty pletnią. Dla dzieci do lat 6.



N. 5. Kaftaniczek naszyty pletnią.



N. 6. Kaftanik długi dla panienek lat 8—12. Krój w dodatku Nr X, Fig. 41—48.



N. 7. Kaftanik dla panienek lat 8—12. Przód do ryc. 6.



N. 9. Płaszczyk „Ulster" od deszczu lub kurzu. Patrz ryc. 8. Krój w dodatku Nr XV, Fig. 63—63-a.



N. 8. Płaszczyk „Ulster". Plecy i krój patrz ryc. 9.

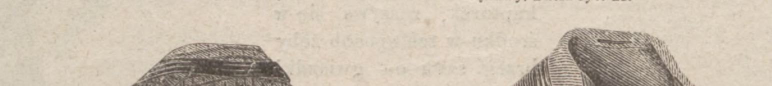
N. 10. Płaszczyk z peleryną tworzącą rękawy. Patrz ryc. 11.



N. 11. Płaszczyk z peleryną tworzącą rękawy. Patrz ryc. 10. Krój w dodatku N. II. Fig. 4—11-a.



N. 12. Kaftanik z szalowym kołnierzem.

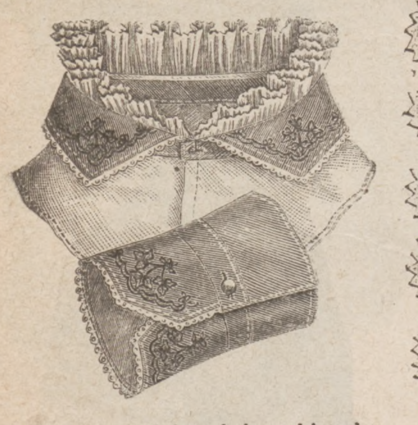


N. 13—14. Kaftanik z wykładanym kołnierzem, dla dziewczynki lat 5—7. Plecy i przód. Krój w dodatku N. XI, Fig. 49—55.



N. 15. Płaszczyk pelerynowy z tiulu i pletni.

żony jest kwadrat sznurem oszyty, ozdobiony kwastami, odrobiony na atłasie i nieco jaśniejszem suknie. Atłas kładzie się na spód a sukno podług deseniu wycięte przystębnowywa na wierzchu, jak to widać na ryc. 28, przedstawiającej w naturalnej wielkości $1/4$ część przykrycia.



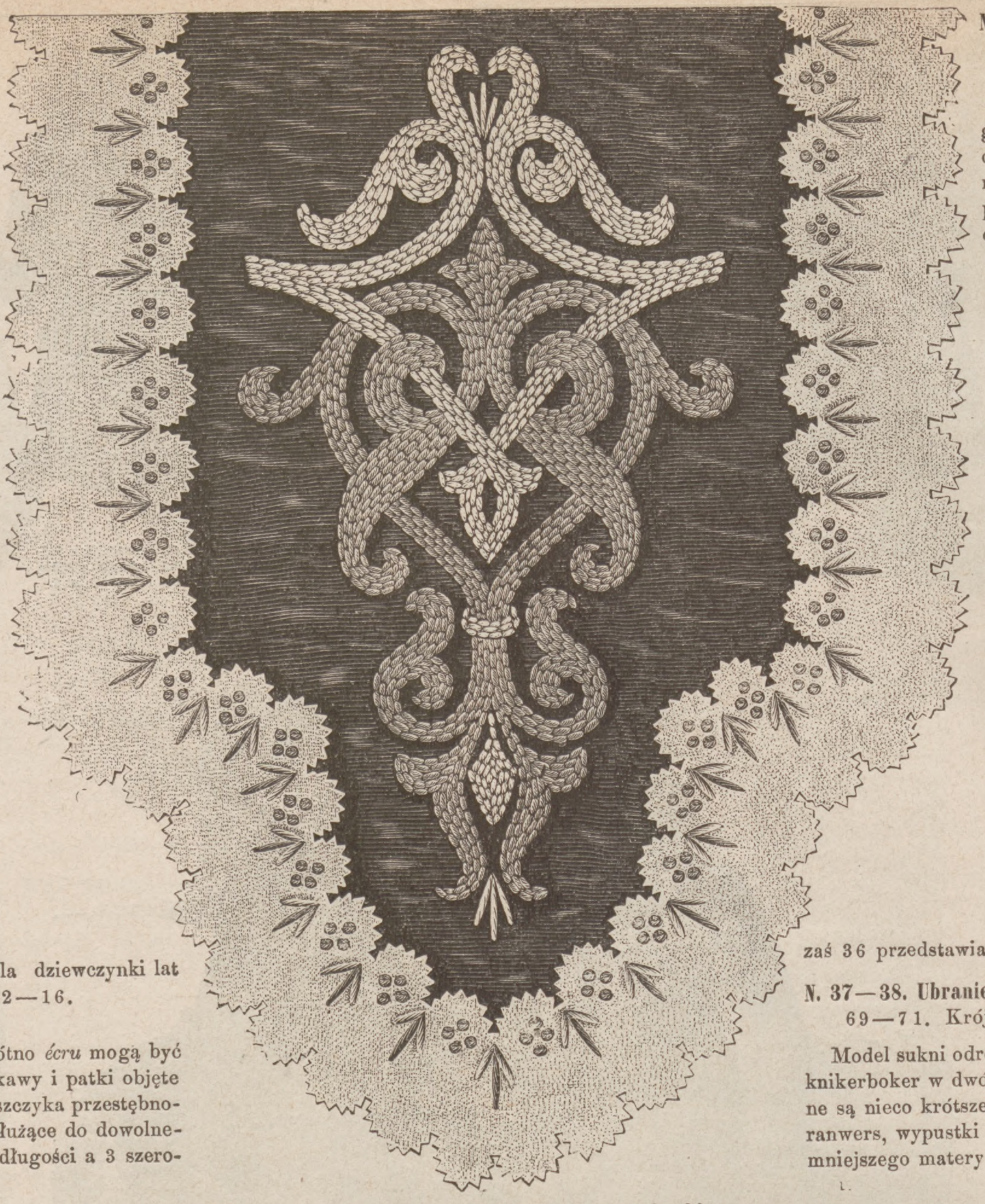
N. 16—17. Kołnierzyk i mankiet z kolorowego płótna wyszyty łańcuszkiem. Deseń w dodatku Fig. 75.

N. 29—31. **Modna** pasmanterja z tiulu i sutaszu.

N. 32—33. **Wiosenne** okrycia. Opis i krój na arkuszu z formami, Nr I, Fig. 1—3.

N. 34—35. **Płaszczyk** z kapturkiem dla dziewczynki lat 8—11. Krój Nr III Fig. 12—16.

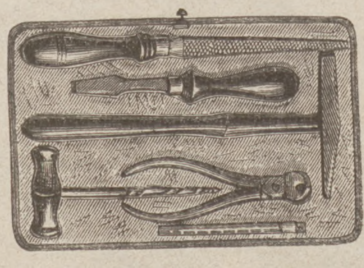
Waterproof, szewiot, alpaga albo płótno *écru* mogą być użyte na taki płaszczyk. Kapturek, rękawy i patki objęte są wąską pliską z materyi, a brzegi płaszczyka przestębnowane. Patki w końcach zaokrąglone, służące do dowolnego zwężania rękawów, mają 11 cent. długości a 3 szerokości; służące do spięcia płaszczyka w pasie, z tyłu, 19 cent. długości a 4 szerokości. Zręczny, podług Fig. 15 przykrojony kapturek, zeszywa się w środku w ten sposób żeby brzegi szwa od gwiazdki do kropki szły na zewnątrz, a od kropki do dwóch kropek na zewnątrz. Na formie oznaczone jest także kropką miejsce, w którem przyszywa się od spodu do kapturka, pętelkę ze sznureczka; na linii zaś środkowej oznaczone jest miejsce przyszycia guzika, do spięcia fałd od spodu. W środek kapturka daje się fałdowaną materję, wykrój szyi obejmuje się pliską, a do przyozdobienia służą sznury z kwastami i kokardy ze wstążki.



N. 20. Lambrekina. Haft kolorowym jedwabiem.



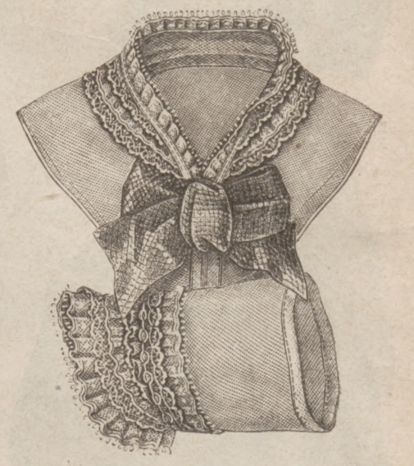
N. 21. Szkatułka do narzędzi. Malowanie lub nakrapianie na drzewie.



N. 22. Szkatułka otwarta. Patrz ryc. 21.

N. 36. **Tunika** beduinowa. Wzór kroju Nr XVII Figura 72—73-a.

Łatwa forma tuniki odznacza się głównie rodzajem fałdowania i podpięcia, od którego otrzymała nazwę beduinowej, bo rzeczywiście jak spiczaste kapturki przy beduinach, tak i tylna część tuniki układa się w spiczasto złożone fałdy. Na Fig. 72—73 podajemy zmniejszony rysunek i rozmiary tuniki, a na Fig. 72-a i 73-a razem zestawione pojedyncze części; rycina zaś 36 przedstawia wykończoną tunikę.



N. 18—19. Kołnierzyk i mankiet z haftem i koronką. Krawatka z wstążki kanwowej.

N. 37—38. **Ubranie** z tuniką. Krój tuniki Nr XVI Figura 69—71. Krój spódnicy i stanika jak do ryc. 39.

Model sukni odrobiony był z wełnianej tkaniny w rodzaju knikerboker w dwóch cieniach. Do przodów stanika dodane są nieco krótsze części kamizelkowe, które również jak ranwers, wypustki i plisowanie przy mankietach, są z ciemniejszego materyału. (d. n.).



N. 23. Płaszczyk wiosenny formą dolmanową. Patrz ryc. 24. Krój i opis w dod. N. IX, Fig. 39—40-a.



N. 24. Płaszczyk wiosenny formą dolmanową. Przód do ryc. 23.